Nr. 54. Lwów — Czwartek dnia 8 Marca. Rok 1900.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i Austryi miesięcz. 2 k. 20 h.
w Niemczech . . . . . 3 „ — „
w innych Państwach . . 4 „ — „
Za zmianę adresu dopłaca się 40 „
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu
Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k
Numer kosztuje we Lwowie . . 8 h.
na prowincyi . . . . 12 h.
Numera z poprzednich dni po 20 h.
Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, opisy uczt i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, spisy składek, doniesienia o zgubach, znalezionych przedmiotach i t. d. po 1 k. od wiersza.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATĘ MIEJSCOWĄ przyjmuje wyłącznie: Ajencya dzienników Sokołowskiego we Lwowie Pasaż Hausmana l. 9.
Ceny ogłoszeń:
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
wiersz petitowy albo jego miejsce 20 h.
W drobnych ogłoszeniach:
tłustym petitem za każde słowo 4 h.
tłustym garmondem „ „ 6 h.
koresp. prywatne „ „ 8 h.
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia: wiersz petitowy albo jego miejsce . . . . . . 60 h.
Reklamy po kronice wiersz petit. 1 k.
Ogłoszenia na czele numeru na pierwszej stronicy wiersz petitowy . . . . 60 h.

Dziś: św. Jana Bożego — Ob. bł. Joana
Jutro: św. Franciszki P. — Tarasia Arch.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI.

Wschód słońca o g. 6 m. 36
Zachód „ „ 5 m. 48

Długość dnia godzin 11 m. 11
Przybyło dnia od wczoraj 3 m.

Gospodarka socyalistyczna.

W chwili, gdy o mandat po Franciszku Smolce poważa się sięgać wodzirej galicyjskich socyalistów i kiedy nawet ci, co go popierają, dokładają usiłowań, aby wstydliwie ukryć przed wyborcami jego socyalizm i w tym celu hałaśliwie dowodzą, że on im się podoba jedynie jako opozycyonista, demokrata i człowiek walki, bez której wrzekomo nie ma życia: — w takiej chwili będzie bardzo stosowne przypomnieć Lwowianom, do czego prowadzi bodaj najlżejsze ustępstwo socyalizmowi i jakie skutki wywiera, jakie na ludność ściąga nieszczęście zaufanie, okazane mu raz i tylko na krótki moment.

Mamy przed sobą urzędowe sprawozdanie (Bulletin Communal) z gospodarki rad miejskich, opanowanych przez socyalistów we Francyi. Z tego aktu podamy jeno to, co się stało w mieście Roubaix, posiadającem średnio zamożną ludność, nieliczniejszą od lwowskiej, bo wedle biuletynu, jest jej 150 tysięcy.

W roku 1891-ym socyaliści francuscy ogłosili program reform w zarządach miejskich. Zamilczeli w tym akcie o swych dążnościach, prawili tylko o wrzekomo rozrzutnej gospodarce mieszczan, z których dotąd składały się rady i o tem, że trzeba dbać o taniość żywności, o usunięcie akcyzy, a zmniejszenie budżetu wydatków. Ten program podobał się wielkim rzeszom wyborców, więc na wiosnę następnego roku, przy ogólnych wyborach do rad miejskich dano mandaty 760 ciu socyalistom. W 29 miastach zdobyli oni większość i tak właśnie się stało w Roubaix, które odtąd zajęło pierwsze miejsce wśród gmin, zarządzanych przez ludzi nieuznających prywatnej własności. Łatwo im było jej nie uznawać, bo sami nic nie posiadali. Jakaż była ich gospodarka?

Najpierw, chociaż program reform miejskich zapowiadał zniesienie akcyzy, aby potaniała żywność, socyalistyczni radzcowie w Roubaix już w grudniu r. 1892-go tak powiększyli taryfę, że akcyza poczęła dawać o 150 tysięcy franków rocznie więcej, przyczem jednak istotnie znieśli opłaty od chleba, włoszczyzny, owoców i pospolitego wina. Jednocześnie nałożyli osobny podatek na browary, co dało 200.000 fr. rocznie i powiększyli opłaty miejskie za mieszkania droższe niż 500 fr. W ten sposób poprzedni budżet, wynoszący 4 miliony 21 tysięcy franków, odrazu się powiększył do 5 milionów 369 tysięcy fr. Nadto rada miejska pożyczyła 4 miliony fr. i wydała je w ciągu roku.

Wnet przeprowadzono następujące reformy: Robotnikom miejskim, którzy dotąd otrzymywali 3 fr. 75 centymów dziennie, powiększono zarobek w ten sposób, że minimalna płaca wynosiła 4 fr. Dziesięciogodzinną robotę skrócono do ośmiogodzinnej. Zbudowano 35 domów, w których wdowy po robotnikach otrzymały bezpłatne mieszkanie, złożone z pokoju i kuchenki. Zaczęto dzieciom szkół miejskich rozdawać darmo obiady, mianowicie na każde dziecko przeznaczono ćwierć litra mięsnego bulionu, 30 gramów pieczeni, 100 gramów kartofli, 60 gr. grochu i bobu, 40 gr. bułki i szklankę piwa. W pierwszym roku wydano takich obiadów 1454, a w roku piątym już 283.041. Dzieci mieszczan, kupców, właścicieli jakichkolwiek warsztatów nie miały prawa do bezpłatnych obiadów, lecz mogły je kupować za 18 centymów. W tym samym piątym roku powiększono porcye obiadów, dodano owoce, zbudowano przytułek miejski dla robotników i robotnic, mających więcej, niż 65 lat życia, i założono piekarnię miejską, z której wydawano robotnikom chleb po kosztach własnych, a robotnikom, niemającym zajęcia, darmo. W szóstym roku znów nastąpiły wybory, więc oczywiście tłumy robotnicze stanęły do urny, jak jeden mąż i wybrały całą radę socyalistyczną. Zaczęła się tedy w r. 1897-ym druga kadencya rządów socyalistycznych, jeszcze jaskrawsza.

Przedewszystkiem w sierpniu tego roku otwarto aptekę miejską, z której darmo dawano lekarstwa robotnikom, mającym poświadczenie syndykatów, że są członkami robotniczych związków. Nad morzem założono sanatoryum na 584 osób dla słabowitych dzieci robotników. Każde wysłane tam dziecko korzysta bezpłatnie z całego utrzymania przez 7 miesięcy. Dziatwie robotników, chodzącej do szkół, zaczęto dawać ubranie i w tym celu założono szwalnię miejską, która rocznie kosztuje 73.600 franków. Urządzono bezpłatną kąpiel, lecznicę, biuro porady prawnej i w każdej dzielnicy „hotel", gdzie robotnicy bez zajęcia otrzymują całe utrzymanie darmo. Piekarnię miejską rozszerzono i poczęto darmo dostarczać chleba do domów, ale znowu tylko robotnikom. Wszystkim robotnicom w czasie ich słabości i przez trzy miesiące potem zaczęto dawać codzień bezpłatnie litr mleka. Przyznano stałe zasiłki dwom związkom robotniczym, a w r. 1898 wydano 20 000 fr. bastownikom.

Na te „reformy" co chwilę brakło pieniędzy, więc zaciągano pożyczki i wciąż nakładano podatki na obywateli, posiadających jakikolwiek majątek. Powiększono tedy podatek czynszowy, opłaty za wodę i gaz, w taryfie dorożkarskiej umieszczono pewien procent na rzecz miasta, wreszcie zaprowadzono podatek miejski od spadków i od maszyn parowych, licząc po 10 franków od jednego parowego konia.

W ostatecznym rezultacie takiej gospodarki jest to, że przemysłowcy zaczęli wynosić się z miasta. Ludność jego wzrosła, bo robotnicy spieszyli do tego eldorado, ale ono samo zaczęło ubożeć. Dziewięć lat mija od chwili, w której socyaliści objęli ster miasta, a oto już ono posiada 18 milionów franków długu, to znaczy, że o tyle się zmniejszył majątek ogółu obywateli. Prawdopodobnie po latach kilkunastu takiej gospodarki miasto Roubaix można będzie sprzedać z licytacyi.

Tak socyaliści wyglądają nie wtedy, gdy śpiewają swój czerwony sztandar, krzyczą „hańba!" i świat przebudowują na swych zgromadzeniach, lecz wtedy, gdy są przy pracy. Więc ostrożnie z nimi! Nie dopuszczajmy do tego, aby oni mieli jakikolwiek wpływ na ekonomiczne sprawy kraju, czy miasta. Przy wyborze posła ze Lwowa do Sejmu pamiętajmy, że możemy stworzyć bardzo niebezpieczny początek, z którego później już coraz łatwiej będzie się rozwijała socyalistyczna akcya. Tu nie chodzi o żadne sprawy polityczne, o żadne teorye społeczne, tu chodzi przedewszystkiem o majątek nasz i naszych dzieci.

Chybione zabiegi pokojowe.

W Berlinie utrzymują, że Anglia przez swych ambasadorów dała poufnie do zrozumienia wszystkim rządom, że pod żadnym warunkiem nie przyjmie pokojowego pośrednictwa, a to raz dlatego, że obie boerskie republiki są wassalkami Anglii, zbuntowały się przeciwko niej, a zatem wedle przyjętego przez wszystkie dyplomacye zwyczaju, iż żadne państwo nie miesza się do spraw wewnętrznych innego państwa, nie może być w tym wypadku pośrednictwa; powtóre zaś dlatego, że angielska opinia publiczna domaga się zupełnego zagarnięcia owych boerskich republik. Rzeczywiście, z inicyatywy uniwersyteckich deputowanych podpisuje ludność angielska memoryał, w którym domaga się od rządu zaboru Transwaalu i Oranii, aby z nich powstały nie samorządne kolonie, jak np. australijskie, lecz koronne, jak Malta, Cypr, albo Gibraltar. Boerzy już niezawodnie wiedzą, że zabiegi pokojowe odrazu chybiły celu, bo Krüger wrócił z Bloemfonteinu do Pretoryi, skąd natychmiast się udał do wojsk, które pod Ladysmith obsadziły graniczne góry, a prezydent orański Stein przybył do obozu pod Nowalspontem i tu wydał do żołnierzy płomienną odezwę. Nowalspont leży mniej więcej na połowie drogi z Jacobsdalu do Bloemfonteinu, w tem jedynem na stepie miejscu, gdzie nagle się podnosi skalisty grzbiet, omywany z zachodniej strony rzeką Kaal. Jest to zapewne ta miejscowość, która na angielskich mapach nazywa się Aasvogel i o której pisaliśmy zaraz po kapitulacyi Cronjego, że tam wszystkie boerskie wojska będą czekały Anglików. Nowalspont zmienili Boerzy w oszańcowany obóz, a dowódcą jest tam podobno Joubert. Teraz widoczne już są skutki długiego postoju Robertsa po ostatecznej rozprawie z Cronjem: droga w głąb Oranii jest zamknięta. Cały tedy zysk Anglików z bojów pod Paardebergiem redukuje się do tego, że ich 40-tysięczna armia odzyskała swobodę ruchów, a o ile można sądzić z ostatnich telegramów Robertsa, korzystając z tej swobody, zamierza [illegible] z dwóch stron [illegible] boerską, [illegible] część wojsk [illegible] na północne skrzydło Boerów, a drugą [illegible] na południowe, pod Abrahamskraal, gdzie już się zaczęły utarczki. Niebawem tedy przyjdzie do nowej rozstrzygającej bitwy.

W każdym razie wojna się przedłuży, a tymczasem Cecil Rhodes płynie do Anglii, aby ją jeszcze bardziej rozjątrzyć na Boerów.

Wojciech Dzieduszycki
wiceprezesem Koła.

Piszą nam z Wiednia, 5 marca:

Jak przewidywano, wiceprezesem Koła polskiego w miejsce p. Bilińskiego został wybrany, i to bez walki, hr. Wojciech Dzieduszycki. Należy on właściwie do młodszego pokolenia posłów naszych, bo do Rady państwa wstąpił dopiero w r. 1879, a nadto przez 10 lat, od 1885 do 1895, nie zasiadał w Radzie państwa. Pomimo tego po przeniesieniu się pp. Madeyskiego i Bilińskiego do Izby panów, hr. Dzieduszycki obok sędziwego prezesa Jaworskiego, liczącego 75 lat, niewątpliwie zajmował w Kole pierwsze miejsce, na które teraz wchodzi urzędownie.

Świetniej niż ktokolwiek z posłów, hr. Wojciech Dzieduszycki łączy w swej osobie niesłychanie płodnego pisarza z niestrudzonym mężem czynu, — wykwintne pióro z wymową. Wspominać w piśmie polskiem o zasługach hr. Dzieduszyckiego na polu piśmiennictwa, jest właściwie pleonazmem. Nie ma prawie gałęzi literatury, którby nie była pod dotknięciem jego dłoni wydała świetnych owoców. Ze zdumiewającą wielostronnością hr. Dzieduszycki ogłasza najgruntowniejsze prace o filozofii greckiej, w głośnem dziele „Ateny" odtwarza po mistrzowsku obraz cywilizacyi i domowego pożycia sławnego miasta, tłómaczy równie dobrze starych tragików greckich, jak Szekspira, w „Baśni nad baśniami" sięga po wawrzyn wieszcza, staje w pierwszym rzędzie estetyków tegoczesnych swemi „dziejami malarstwa we Włoszech", en passant pisze obszerne powieści archaistyczne i współczesne, — wreszcie w pauzie pomiędzy dwiema kadencyami obstrukcyjnemi zwiedza Hiszpanię i obdarza nas pełnym życia i mądrych spostrzeżeń opisem. Jakim sposobem na to wszystko starczyło czasu mężowi, zajętemu nieustannie bieżącemi sprawami politycznemi, to jest zagadką, której niepodobna rozwiązać inaczej, tylko przypuszczając nadzwyczajną pracowitość w połączeniu z nadzwyczajną łatwością pisania.

Włoczyć tak wielostronnego pisarza w powszednie ramy stronnictw, byłoby rzeczą trudną. Kiedy krótko po wydaniu *Aten* hr. Dzieduszycki w r. 1878 wstąpił do Sejmu, kółko młodszych posłów, którzy się około niego skupili, nazwano „Ateńczykami". Znaczy to tylko tyle, że nie można było hr. Dzieduszyckiego zaliczyć po prostu do żadnego z dawnych stronnictw. Ludzie tacy sami dla siebie stanowią stronnictwo! Na prawdę w naszych stosunkach stronnictwa są zbytkiem, nie mają żadnej racyi bytu, jak to przed kilkunastu laty wykazywał p. Madeyski w broszurze „Nasza opozycya". Jest tylko obóz narodowy i antinarodowy — do tego ostatniego należy przedewszystkiem socyalna demokracya, z natury rzeczy internacyonalna.

Hr. Dzieduszycki stał zawsze w pierwszym rzędzie obozu narodowego. Z gorącego poczucia narodowego czerpał świadomość potrzeby samodzielności w teoryi i czynie, czyli w dziedzinie ducha, jak w polityce. W rozprawie „O pesymizmie w Niemczech", ogłoszonej w *Bibliotece warszawskiej* w r. 1890, hr. Dzieduszycki pyta, czy nienawiść takich wrogów, jak Hartmann, „nie powinna być dla nas wskazówką, że może jesteśmy więcej warci, niż sami nieraz sceptycznie o sobie mówimy? Czyż nie jest usprawiedliwionem spojrzeć w przeszłość dziejową i przekonać się tam, że zwykle naród, który w pewnej dobie był [illegible], wierzyć w moralność bezwzględną, która światem rządzi, i w sprawiedliwość, która świat prowadzi, i że taki naród, trzymając się odpowiednich tradycyi swoich [illegible] ludzkiego, o czasy rodzinę, oczący pierwsze i najbliższe obowiązki najprzód względem własnego społeczeństwa, a potem i dalsze, — że naród ten, mimo pozornej słabości, potem się doczekał chwili może, jeżeli [illegible] i z własnych tradycyi wysnuwa, na podstawie doświadczenia i wiedzy drugich, przyszłość dla siebie, nie oglądając się zbyt na to, co ktoś tam niedorzecznie napisał. Trzeba nam przyjść do tej pewności siebie, [illegible] my chcieli myśleć sami o sobie na podstawie naszych własnych stosunków".

Tę samą myśl, w wyraźniejszem zastosowaniu do spraw politycznych, hr. Dzieduszycki wypowiada w świeżo ogłoszonych „wrażeniach z podróży hiszpańskiej", wzywając, gdzie jest sposobność ku temu, do pracy politycznej, [illegible] ani tej, która szuka [illegible] poklasku, [illegible] ani tej, która każe marnować siły w obronie obcych mrzonek lub obcych interesów, ani tej wreszcie, która sztuczne snuje plany, przeznaczone niechybnie na na to, że je pierwsza lepsza nieprzewidziana okoliczność w niwecz obróci — tylko tej, która chodzi troskliwie i codziennie około rzeczywistych, powszednich narodu potrzeb".

O mężu, który tak głęboko czuje potrzebę samodzielnej pracy narodowej, nie podobna przypuszczać ani na chwilę, aby mógł doradzać Kołu marnowanie sił „w obronie obcych mrzonek". Wogóle jest to dziwaczne a zarazem ubliżające nam przypuszczenie, że Koło może się chwiać nibyto pomiędzy dwoma biegunami germanofilstwa lub czechofilstwa. Adres, który w imieniu prawicy ułożył hr. Dzieduszycki w maju r. 1897-go, ani słowem nie potrąca ani o strunę germanofilstwa, ani o strunę czechofilstwa. Wygłasza on na podstawie szczerej troski o ogólne dobro monarchii, pewne zasady. Do tych zasad przyznają się także Niemcy, a na odwrót radykalne żywioły czeskie, dążące do separatyzmu, gwałcą zasady tej rozumnej autonomii, której pragnie hr. Dzieduszycki w zgodzie z tradycyami Koła polskiego.

W mowie, wygłoszonej w komisyi adresowej 21-go maja 1897 r., hr. Dzieduszycki oświadczył bardzo słusznie: „Konstytucya jest owocem kompromisu, przyczem także stronnictwa autonomiczne (a właściwie tylko Polacy) wnieśli swoje poglądy. Domagamy się w adresie tylko powrotu do tego pierwotnego (kompromisowego) ducha konstytucyi". A dalej: „Jeżeli mniejszość nadużywa regulaminu, aby ubezwładnić parlament, natenczas gwałci wolność, zapoznaje konstytucyonalizm. Jestem przekonany, że panowie z opozycyi posiadacie zanadto patryotyzmu, aby wytrwać na tej drodze". To są zasadnicze prawdy, które dziś stosują się tak samo do dążących do rozbicia parlamentu za pomocą obstrukcyi młodoczechów, jak przed trzema laty stosowały się do lewicy niemieckiej. Prawda ma to do siebie, że zawsze pozostaje prawdą, a nie może i nie powinna się przedstawiać odmiennie, według tego, czy na sprawę spoglądamy przez pryzmat germanofilski lub czechofilski.

„Ateńczyk" tak delikatnego poczucia estetycznego, jak hr. Wojciech Dzieduszycki, pamiętający zacięte wprawdzie, ale nie wyradzające się w sceny karczemne walki parlamentarne pomiędzy r. 1879 i 1885, patrząc na popisy obstrukcyjne, może czasem przypomina sobie — Kalibana z „Burzy", którą tak świetnie nam przyswoił! I tak potwór-Kaliban złorzeczy Prosperowi:

„...Nauczyłeś mowy
I tyle zarobiłem, że przeklinać umiem;
A niechby mór was opadł za naukę mowy", —

staje się poniekąd wzorem pewnych „nowych warstw" ludowych i społecznych, które polityczną walkę na grzeczne argumenta i głosowania (nie koniecznie imienne!) zamieniają w brutalne obelgi i przekleństwa, salę obrad parlamentarnych na arenę gladyatorów! Kaliban jest właściwie prawowitym pretendentem, ale i taki traci sympatyę — jeżeli zbytecznie forsuje nutę!

Rada państwa.

(Telegramy Przeglądu).

Wiedeń 7 marca.

Jak już donieśliśmy, odczytano na wstępie wczorajszego posiedzenia Izby panów interpelacyę hr. Stanisława Tarnowskiego, prezesa akademii polskiej, podpisaną również przez Szeptyckiego, Lubomirskiego, Madeyskiego, Gorayskiego, Dzieduszyckiego, Sanguszkę, Bilińskiego, A. Potockiego, Stanisława Badeniego i innych członków prawicy, w sprawie rewizyi w klasztorze SS. Felicyanek w Kętach, dokonanej przez inspektora policyi w asystencyi żandarmów i w obecności Izraela Aratena. Interpelacya stwierdza, że mimo oporu przełożonej, zrewidowano wszystkie cele klasztorne, przyczem stary Araten miał złorzeczyć instytucyom klasztornym w ogóle. Zaiście to wywołało wielkie oburzenie wśród chrześcijańskiej ludności w Galicyi, a oburzenie to jeszcze się wzmogło, gdy dnia następnego w Krakowie żydzi napadli na Maryę Jacobównę, która przyjęła była wiarę chrześcijańską, i obili ją tak, że obecnie jeszcze leży chora. Interpelanci zapytują, czy zaiście te znane są rządowi, czy rząd przedsięwziął odpowiednie kroki, aby winnych pociągnąć do odpowiedzialności i co rząd zamierza uczynić, aby na przyszłość podobne wykroczenia fanatycznych żydów przeciw neofitkom się nie powtarzały.

Przed przystąpieniem do porządku dziennego odczytano także petycyę wielu towarzystw przemysłowych, które proszą, aby przed ustawodawczem wprowadzeniem ośmiogodzinnego czasu pracy w kopalniach węgla, urządzono ekspertyzę przy udziale obu stron interesowanych.

Następnie odbyła się dyskusya nad programem rządowym.

Hr. Meran, ze stronnictwa środka, powitał z zadowoleniem ekonomiczny program rządu, oraz okólnik, kładący nacisk na to, aby administracya sprawowana była w duchu nowoczesnym. Poprawa sytuacyi politycznej zawisła od załatwienia kwestyi językowej. Obrana przez rząd droga konferencyi pojednawczej wydaje się mówcy słuszną. Hr. Meran oświadcza się za tem, aby język niemiecki uznany został w drodze ustawodawczej językiem ogólnie pośredniczącym w Austryi, przyczem jednak stronnictwo środka nie dąży bynajmniej do hegemonii, ani przewagi narodu niemieckiego, tylko powoduje się wyłącznie interesem państwa i jednolitego zarządu.

Stronnictwo to stoi bezwzględnie na gruncie konstytucyi i równouprawnienia wszystkich narodowości. Zacięta walka narodowościowa wywołała obstrukcyę, wzmocniła radykalizm i doprowadziła do zachwiania wszelkiej powagi. Mówca potępia obstrukcyę, która rządowi dała prawo koniecznej obrony i kończy oświadczeniem, że stronnictwo środka udzieli rządowi poparcia.

Dr. Madeyski oświadcza, że pragnie wypowiedzieć tylko osobiste swoje zapatrywania na sytuacyę polityczną; sądzi, że do pokonania istniejących trudności jest koniecznem, aby stronnictwa polityczne część swoich zasadniczo usprawiedliwionych pretensyj złożyły w ofierze na rzecz interesów ogólno-państwowych. Mówca wita z zadowoleniem inicyatywę rządu. Obowiązkiem Izby panów, która nie stoi pod naciskiem agitacyi z zewnątrz, jest

9)

KALKSTEIN

Powieść historyczna z XVII wieku

(z cyklu „O Tron")

przez

Adama Krechowieckiego.

(Ciąg dalszy).

Kalkstein wypił i czuł, że mu w tym momencie bardzo dobrze. Chwilami jakaś czułość zalewała mu serce, to znów podnosiło się ono i jakby rozszerzało na myśl, że po tylu dniach udręczeń, troski, rozpaczy niemal, nadchodzi czas, gdy on, wsparty opieką króla i możnych senatorów, zdobędzie na elektorze nietylko spokój dla siebie i swoich, ale zabezpieczy zagrożone swobody szlachty pruskiej. Przypomniały mu się też słowa Jankowskiego, który zawsze powtarzał, że on, jako niemal ostatni czynny obrońca tych swobód, winien nieraz o sobie zapomnieć, bacząc na to, co dobru powszechnemu potrzebne.

Tymczasem inni, nie zmawiając się, rozdzielili pomiędzy siebie grę. Pierwszy dał hasło Lehndorff i począł udawać mocno pijanego, któremu wino rozczuliło serce. Przysunął się blisko do Kalksteina i za szyję go chwytał, oświadczając mu afekta swoje.

— Jam wasz brat!... nie ma to jak obozowe, rycerskie braterstwo...

Brand, zrozumiawszy to, zasępił się i milczał, udając, że mu wino nie na serce, lecz na wątrobę działa. Oparł głowę na ręku i wzdychał:

— Ciężkie życie! ciężkie!

A zaś Brzoska śmiał się z cicha, jak ów, któremu trunek oszołomił mózg, ale przynosi mu wesołe, chociaż bezładne myśli.

— Ciężkie — powtórzył — to nic, będą jeszcze lekkie... he, he. Znałem białogłowę pewną, która żaliła się, że jest jej ciężko. Aliści za miesięcy kilka stało się jej znów lekko i oświadczała gotowość nowy ciężar dźwigać.. he! he!

Lehndorff, który z cicha z Kalksteinem rozmawiał, surowo spojrzał na Brzoskę.

— Pilnuj języka, mości stolniku! A zaś o białogłowach nie gadaj, bo oto imci pan Kalkstein, przyjaciel mój serdeczny, nawet o najmilejszej małżonce swej, którą w Knauten zostawił, myśleć nie chce, iżby mu ta myśl nie osłabiała woli, którą ma skierowaną ku powszechnemu dobru... Słusznie też rzecze: Nie należę do siebie; gdybym był jeno zwykłym Kalksteinem-Stolińskim, jechałbym jutro do Knauten i byłbym szczęśliwy... Alem ja jest obrońca swobód pruskich i dla nich muszę tu jeszcze zostać, siłę zbrojną mieć, choćby dziesięć tysięcy żołnierza na granicy elektorskiej postawić...,

— Tak! — potwierdził Kalkstein, uderzając w stół pięścią — będę to miał! Obietnice mam święte... Dotrzyma wreszcie słowa i Pac i Olszowski i Wiśniowiecki Dymitr!... Niech jeno Jankowski z zaciągiem litewskim przybędzie...

Brandt uszy nastawił, ale głowy nie podnosił i wciąż żałośnym tonem powtarzał:

— Ciężkie życie!...

— Będzie i wam lżejsze! — zawołał Kalkstein, wielce rozanimowany. — Niech jeno elektor moc poczuje, a i tym, co mu *służą*, lepiej będzie... Już ja wam przyrzekam, że za to, coście dla mnie uczynili, otrzymacie nagrodę...

— Żebyż tylko ów Jankowski z zaciągiem litewskim w czas przybył — ozwał się Brzoska — słyszałem, że siłę zgromadził.. he, he!

— Może nie wielu, ale dzielnych...

— Wiem.. wiem... takich, co to przysięgają na głód, na chłód, na trud.., znam to! he, he, he... Z nimi się nie zaczepiać!

— Słyszałem — dorzucił Lehndorff — jako całe to mężne rycerstwo ma stanąć na Pradze, gdzie i wy pono, mości pułkowniku, zamieszkać chcecie?...

— Chciałem — odparł Kalkstein, nie przeczuwając w tem pytaniu zasadzki — chciałem, ale teraz nie!

— W celi bernardyńskiej wam lepiej...— dorzucił od niechcenia Brandt.

— Jest dobrze, ale teraz i tam nie mogę. — Muszę mieć swobodne ręce i być blisko tych, którzy mi pomoc przyrzekli... To też i w celi nie zostanę...

Urwał, jak gdyby lękał się zdradzić swych zamiarów. Ale już trunek w nim działał: pałały oczy, poczerwieniały policzki, zapał się wzmagał i ogromna chęć mówienia.

— Jabym na miejscu waszem — ozwał się z nagła Brzoska, który się ciągle wzrokiem z Brandtem porozumiewał — jabym przyjął gościnę, u którego z możnych panów, co wam pomoc przyrzekli... Bo oni, to jak to mówią, póty cię znają, póki cię widzą...

Kalkstein uśmiechnął się z dumą.

— Tak też uczynię... — odparł krótko.

Znowu w okół niego skrzyżowały się porozumiewające spojrzenia. Ale on tego nie dostrzegł. Wypił kubek do dna, wstał i przechadzać się począł po komnacie. Był bardzo wesół, coraz siebie pewniejszy, a bawiła go okrutnie strapiona mina Brandta.

Przystąpił do niego i po ramieniu klepał.

— Cóż, mości rezydencie? — spytał — frasujesz się, bo ci Elektora pewno żal. Ano, przepadł! Jeżeli mi obietnice dotrzymane będą, to niebawem ujrzysz, jak on tu, albo w Krakowie na rynku, kędy wola, hołd na klęczkach składać będzie... Więc ci go żal...

Brandt głową chwiał.

— Nie tego mi żal — ozwał się — nie tego. Niech sobie Elektor radzi sam... Ale mi jest żal, że znów w was przyjaciela tracę. Wy ciągle o walce myślicie, a ja w niej po waszej stronie być nie mogę. To trudno! Skoro zaś u jakiego senatora gościnę przyjmiecie, to już nawet i dostępu do was nie będzie!...

Kalkstein roześmiał się w głos.

— Nie lękaj się, miły mój! — zawołał. — Potem coś mi teraz uczynił, nie zapomnę, powtarzam, o waści. Siedź jeno cicho, za język mnie nie ciągnij, do króla na mnie ze skargami nie łaź, Elektorowi nie donoś o tem, co podpatrzysz... A tak możesz jego łaski zachować i nam pożytecznym być..

— Pokorne ciele dwie matki ssie... — wtrącił Brzoska.

A Kalksteina już było nie wstrzymać. Zaczął długo rozprawiać o krzywdach Prus, które o pomstę do nieba wołają, o samowoli krwawego Frycka, o jego pysze szatańskiej. Mówił o swoich wpływach i znaczeniu, przechwalając się obietnicami panów i króla samego.

— Być też może — rzekł w końcu — że ja nasamprzód sam, mając list bezpieczeństwa w ręku, do Prus pojadę. Trzeba bowiem — jak słusznie gada Lehndorff — ową zastarzałą a zgnębioną szlachtę obudzić... Muszę się jeno wpierw z biskupem poznańskim, Wierzbowskim, naradzić. Jutro, skoro się do niego przeniosę...

— A! — zawołał Brzoska — więc to on wam gościnę daje? Wyborny uczyniliście wybór; szczigodny to pasterz, a moc ma wielką...

(Ciąg dalszy nastąpi).

działać w kierunku rozwikłania trudności obecnej sytuacyi politycznej.

Członek partyi konstytucyjnej Fürstenberg omawia przebieg obrad konferencyi pojednawczej i spodziewa się, że mimo pozornych trudności wyniknie z nich rezultat dodatni. Do zawarcia pokoju konieczne są obopólne ustępstwa. Długotrwała bezsilność Austryi wychodzi tylko na korzyść Węgier. Także zawarcie traktatów handlowych z innemi państwami jest niemożliwe bez parlamentu. Obecna sytuacya zagraża niebezpieczeństwem zarówno mocarstwowemu stanowisku monarchii, jakoteż życiu politycznemu i ekonomicznemu.

Prezydent ministrów Koerber oświadczył, że rząd słucha z uwagą głosu Izby panów w obecnej tak ciężkiej dla państwa chwili. Izba panów od dawna odznaczała się spokojnem i objektywnem omawianiem kwestyi najważniejszych i stała się twierdzą życia konstytucyjnego w Austryi. Mówca dziękuje Izbie za gotowość poparcia rządu przy załatwieniu kwestyi narodowościowych, zwłaszcza wyraża podziękowanie hr. Meranowi za obietnicę szczerego poparcia wyrażoną w dzisiejszej jego mowie. W kwestyi językowej przedewszystkiem należy odpowiedzieć potrzebie faktycznej, załatwienie zaś jej zależy zarówno od umiarkowania jak i odwagi wszystkich stronnictw. Konferencya pojednawcza osiągnęła porozumienie w niektórych kwestyach.

Ogólne zarysy uregulowania sprawy są już widoczne, rząd też po zamknięciu konferencyi, którą uważa tylko za czasowo przerwaną, w myśl tych zarysów przystąpi ewentualnie do ostatecznego jej załatwienia. Najlepiej wiedzie do tego obopólna wymiana zdań. Ale obok narodowych są także ważne i naglące kwestye ekonomiczne. Prezydent ministrów sądzi, że może już niebawem nadejdzie chwila, kiedy te wspólne interesy i sprawy staną ponad waśniami narodowościowemi. Im rychlej zaznaczy się pozytywna działalność w dziedzinie przemysłu, handlu i rękodzieł, tem lepiej dla państwa.

Prezydent ministrów wspomina także o strejku węglarzy. Rząd starał się o pogodzenie stron obu oraz zarządził odpowiednie środki, by mieć bezpośrednie informacye o wypadkach w rewirze strejkowym. Gdyby był postąpił inaczej, toby prawdopodobnie dziś także jeszcze strejk nie był ukończony, a rząd nie miałby tego cennego materyału informacyjnego jaki sobie na miejscu zdobył.

Mówca wskazuje na nadmierne przeciążenie urzędników przy wszystkich władzach państwowych. Nasuwa się pytanie, czy nie należałoby przeprowadzić pewnych zmian w całej organizacyi władz administracyjnych. Jest to bardzo szerokie pole działania; oby tylko wszystkie narodowości chciały się połączyć do pracy ustawodawczej. Parlament, rozwijający działalność pozytywną, pracowałby także dla swojego własnego rozwoju. Prezydent ministrów kończy zapewnieniem, że rząd powoduje się tylko myślą o szczęściu państwa. (Huczne oklaski).

Po mowie prezesa gabinetu zabrał głos dr. Rieger i wyraził to głębokie przekonanie, że przyszłość narodu czeskiego zależy wyłącznie od losów Austryi. Mówca stoi na stanowisku austryackiem i dynastycznem. Czesi i dynastya zejdą się z sobą zawsze, gdyż nawzajem się potrzebują, a jak nie można wyobrazić sobie Czechów bez dynastyi habsburskiej, tak samo też dynastyi tej bez Czechów. Mówca jest z całem uznaniem dla programu rządowego, który został wypracowany wśród dzielne przez dzielne siły fachowe. Osią, około której obraca się obecnie wszystko w polityce wewnętrznej, jest kwestya czeska. Mówca uważa ją nie za wyłącznie językową lecz za kwestyę polityczną i konstytucyjną. Załatwienie jej nie należy przed forum Rady państwa. Zdaniem mówcy załatwia ją sama konstytucya, albowiem konstytucya wypowiada zasadę, że wszystkie ludy są równouprawnione w szkole, w urzędzie i w całem życiu publicznem. Stronnictwo liberalne łudzi się bardzo, żywiąc nadzieję, że Rada państwa uchwali ustawę w sprawie języka państwowego. Nie ma wątpliwości, że wskutek wzmagania się skrajnych niemieckich prądów w Czechach sprawa porozumienia napotyka na coraz większe trudności. Mówca przemawia jak najgoręcej za porozumieniem pomiędzy Niemcami a Czechami. A ponieważ żywioł czeski w Czechach jest zbyt potężny, aby mógł być ignorowany, przeto należy dążyć do tego, aby zapanowało zupełne równouprawnienie. W końcu oświadczył się mówca stanowczo przeciw niemieckiej hegemonii, i niemieckiemu językowi państwowemu. (Huczne oklaski z ław prawicy).

P. Kottuliński ze stronnictwa wierno-konstytucyjnego wskazał na bardzo przykre położenie rolnictwa, wypowiedział szereg żądań rolników i zaapelował do gabinetu, aby zechciał zaopiekować się gorąco interesami agrarnemi.

W tem miejscu zaproponował prezydent, aby posiedzenie przerwano, Izba jednak na to się nie zgodziła.

Prof. dr. Albert (Czech) zaznaczył, że gdy życie narodowe Czechów coraz silniej się rozwija — prawnopaństwowy ich program coraz mniej znajduje uwzględnienia. Mówca wskazuje na wielki rozwój akademii czeskiej i sztuki czeskiej. Lecz także i u Niemców w Austryi spotęgowało się życie narodowe. Obaj przeciwnicy powinni się nawzajem szanować, a gdy to nastąpi, będzie możliwem rychłe zawarcie pokoju. Najniebezpieczniejszą w obecnem przesileniu jest ta okoliczność, że administracya jest zagrożona. Gdyby Niemcy nie chcieli germanizować, lecz tylko cywilizować, to możnaby na to się jeszcze zgodzić. Niechaj działają pedagogicznie, a inne ludy wziąkną w siebie dobrodziejstwa ducha i cywilizacyi niemieckiej. (Oklaski).

Hrabia Schönborn (z prawicy) oświadczył, że jego przyjaciele polityczni powitali sympatycznie zarówno program, jak i dotychczasową działalność nowego rządu. Nietylko w interesie Czech, lecz całej monarchii domagają się, aby nastąpiło pojednanie Czechów z Niemcami. Nie należy pytać, jakie należy zrobić ustępstwo na rzecz przeciwnika, lecz jakie koniecznem jest ustępstwo na rzecz państwa.

Baron Czedik (stronnictwo środkowe) przemawiał również za narodowem porozumieniem. Niemcy nie upierają się przy języku państwowym, mniemają atoli, że potrzebnem jest ustanowienie języka niemieckiego jako pośredniczącego. — Przy próbach porozumienia powinien rząd w razie potrzeby przyjąć na siebie urząd sędziego polubownego.

Dr. Lemayer (ze stronnictwa wierno-konstytucyjnego) oświadczył się w formie jak najbardziej stanowczej przeciw zmianie konstytucyi o czem uczynił wzmiankę Dr. Rieger. W ostatnich dwóch latach — mówił mówca — robiono w Austryi ciągłe ustępstwa na rzecz Czechów. Z taką polityką powinien zerwać rząd obecny.

W końcu przemawiał ks. Auersperg, który oświadczył, że Niemcy byli i są wiernymi obywatelami austryackimi.

Na tem wyczerpano porządek dzienny. O dniu następnego posiedzenia zawiadomi prezydent pisemnie.

Wiedeń 7 marca. Komisya wojskowa Izby posłów ukończyła ogólną dyskusyę nad ustawą o kontyngencie rekruta i uchwaliła przejście do dyskusyi szczegółowej. W toku jej minister obrony krajowej hr. Welsersheimb odpowiedział na zapytanie w sprawie rzekomego naruszenia neutralności na korzyść Anglii, a to przez dostarczanie jej materyału wojennego. Minister oświadczył, że sprawa ta, która była już przedmiotem kilku interpelacyi, dała powód prezesowi gabinetu do wejścia w porozumienie z ministrem spraw zagranicznych. Minister może tutaj dać tylko wyjaśnienie o tem, o czem dowiedział się w krótkiej drodze. Sprawa rzekomego zakupna koni w Węgrzech usuwa się naturalnie z pod ingerencyi rządu Przedlitawii. O tem jakoby firma Skoda w Pilznie dostarczała dział do Anglii, nie ma zarząd wojenny żadnej zgoła wiadomości. Dwa tysiące wybrakowanych starych siodeł odstąpiono w interesie zarządu wojskowego pewnej firmie w Bernie, od której w zamian otrzymano nowe siodła. Co się tyczy wysyłki naboi pod adresem firmy Gardener w Anglii to wysłano ogółem w 5 partyach 5000 sztuk, a to dla zamówionych przez Austryę dział szybkostrzałowych. Z tych naboi nie mogli absolutnie korzystać Anglicy, gdyż nie nadają się do ich armat.

Wiedeń 7 marca. Ministerstwo skarbu wniesie na dzisiejszem posiedzeniu Izby posłów przedłożenie, domagające się kredytu dodatkowego w sumie 1,700.000 koron do preliminarza inwestycyjnego na rok 1900.

Wiedeń 7 marca. Drugi wiceprezydent Lupul wystosował do prezydenta Fuchsa pismo z zawiadomieniem, że godność tę składa.

Katolickie stronnictwo ludowe oświadczyło się na wczorajszem posiedzeniu za powołaniem na krzesło pierwszego prezydenta Izby dep. członka stronnictw lewicy i pozostawiło swoim członkom zupełną swobodę głosowania.

Co i o czem piszą.

Wybór jutrzejszy, który ma rozstrzygnąć walkę wyborczą pomiędzy stronnikami dr. Piętaka i p. Daszyńskiego w dziwnem przedstawia się świetle, jeżeli porównamy osoby i kwalifikacye obu kandydatów. Po jednej stronie występuje mąż nauki, były profesor uniwersytetu, obecnie minister i orędownik interesów kraju naszego w gabinecie, człowiek, który od szeregu lat pracuje z pożytkiem na polu parlamentarnem i politycznem, — po drugiej człowiek będący z zawodu i zatrudnienia agitatorem — i niczem więcej. Zaiste wystarczy kwestyę tak postawić, aby dla wszystkich ludzi dobrze i rozumnie myślących, wybór między nimi już z góry zadecydować. Cóż dopiero, jeżeli ten agitator jest najżarliwszym socyalistą, przywódzcą stronnictwa, które obalenie wszystkiego co istnieje, wypisało jako hasło na swym sztandarze! Dziwić się należy, że są w kraju ludzie poważni, którzy na seryo liczą się z tem, ażeby posłem do Sejmu ze Lwowa miał być socyalista. Bardzo trafnie omawia rzecz tę list, jaki otrzymała w sprawie wyboru jutrzejszego *Gazeta Narodowa*. Czytamy tam:

Wolność konstytucyjna dozwala każdej partyi i sekcie politycznej lub społecznej rozwijać się, szerzyć propagandę swojej idei i zjednywać sobie jak najliczniejszych adeptów. Im oświata społeczna jest niższą, tem łatwiejszą tego rodzaju propaganda, która masom największe przyrzeka korzyści. Na tej podstawie i przy agitacyi nader energicznej socyalizm zorganizował się u nas w partyę dość silną i dziwić się nie można, że agitatorowie socyalistyczni, mając tysiące głosów za sobą, wejść muszą także do Sejmu. Organizacya skrzętna dysponująca tysiącami głosów, której nie przeciwstawiono innej, równie energicznej organizacyi, zwycięża zwykle przy wyborach. Spuszczać się na zdrowy rozsądek ludności, byłoby dziś utopią; przy wyborach z mas rozstrzyga cyfra skonsygnowanych głosów, a taka robota nie odbywa się w jednej chwili.

Kto wcześniej i skuteczniej zaczął pracować, ten z natury ma większe szanse zwycięstwa. Nic więc dziwnego, że niejeden socyalista powiększy szeregi reprezentacyi krajowej w Radzie państwa i w Sejmie. To kwestya czasu. Nie trzeba się łudzić.

Dziwić się tylko można, jeżeli kandydatury socyalisty znajdują choćby najsłabsze poparcie w ogniskach burżoazyi, w kołach najoświeceńszego mieszczaństwa, bo w stolicy kraju. W rozwoju społecznym i ekonomicznym mieszczaństwa górowała zawsze zasada poszanowania własności prywatnej, wolności czynienia rozporządzeń ostatniej woli itd. Cała istota mieszczaństwa jest nierozłączną od poczucia nienaruszalności pojęcia własności. Socyalizm jest tej zasady negacyą i nawet w najłagodniejszych formach do ograniczenia własności prywatnej na rzecz kollektywizmu dąży.

Wybór socyalisty przez burżoazyę, świadomą swej czynności, równałby się np. wyborowi Wolfa przez młodoczechów, lub wyborowi wilka przez baranów. Tylko, że barany, pozbawione daru wymowy, nie mogą korzystać z konstytucyjnego prawa interpelowania wilka co do ważnej dość dla nich kwestyi nienaruszalności baraniej skóry.

Galicyjskie Towarzystwo gospodarskie.

Trzydzieste piąte walne zgromadzenia Rady ogólnej tego Towarzystwa rozpoczęło się wczoraj przy bardzo licznym udziale członków. Obradom przewodniczył wiceprezes hr. Stanisław Stadnicki i zawiadomił zebranych, że długoletni prezes Towarzystwa ks. Adam Sapieha z powodu nadwątlonego zdrowia stanowczo i nieodwołalnie zrezygnował z tej godności. Przy tej sposobności oddał hr. Stadnicki należny hołd zasługom ks. Sapiehy, który przez tyle lat wszystkie swe siły poświęcał sprawom Towarzystwa. W dalszym ciągu swego przemówienia podniósł hr. Stadnicki opłakane stosunki stanu rolniczego wobec znacznego podrożenia kredytu, wychodźtwa ludności do innych krajów za zarobkiem, klęski myszy polnych i spadku cen zboża. Wreszcie uczcił mówca pamięć zmarłych w roku ubiegłym członków Towarzystwa: śp. Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego, Antoniego Szadbeja i Dra Franciszka Smolki.

Celem uczczenia zasług ks. Adama Sapiehy, uchwalili zebrani jednomyślnie zamianować go dożywotnim honorowym prezesem Towarzystwa gospodarskiego i wysłać doń deputacyę z 7 członków, która ma go zawiadomić o tej uchwale. Do tej deputacyi przyłączą się także inni członkowie.

Z kolei przedłożono sprawozdanie Komitetu z czynności w roku ubiegłym. Szkoła chmielarska w Starem Siole, utrzymywana przez Towarzystwo przy pomocy subwencyi państwowej i krajowej, rozwija się prawidłowo. W roku ubiegłym ukończyło ją ośmiu uczniów i zdało egzamin, trzech uznano za samoistnych chmielarzy, trzech za chmielarzy, a dwóch za pomocników chmielarskich. Oprócz chmielarstwa uczono w tej szkole także koszykarstwa. Szkoła ogrodnicza we Lwowie liczyła 13 uczniów, z których sześciu utrzymywało Towarzystwo własnym kosztem. Uczą tam pszczelnictwa, sadownictwa, warzywnictwa i kwieciarstwa, a nadto także religii, czytania, pisania, rachunków i początków rysunków.

Subwencyi pobieranej z ministeryum rolnictwa na urządzenie kursów weterynaryjnych użył Komitet na urządzenie dwóch takich kursów: w Śniatynie i w Rawie ruskiej.

Subwencye państwowe i krajowe (2800 zł.) na popieranie czasopism rozdzielił Komitet w ten sposób, że przyznał 100 zł. Towarzystwu dla ogrodnictwa i pszczelnictwa na podtrzymanie pisma *Bartnik*, 300 zł. Towarzystwu leśnemu na wydawnictwo *Sylwana*, a całej reszty użył na wydawnictwo *Rolnika*. W ciągu roku bieżącego wyda Komitet w polskiem tłumaczeniu dwa znakomite podręczniki rolnicze, jeden Fryderyka Hucka pt. „Grassamenzucht“, a drugi Böhmera o zbiorze i konserwowaniu paszy.

W roku ubiegłym było w obrębie Towarzystwa pod uprawą członków 1.991.801 hektarów roli, łąk zaś skoszono 618.705 hekt. Bardzo troskliwie opiekował się Komitet hodowlą bydła, nierogacizny, owiec i koni i konstatuje w swem sprawozdaniu, że interesowanie się rolników naszych tą gałęzią gospodarstwa stale się wzmaga. Obór zarodowych półkrwi założono trzy. Stacyi z buhajami subwencyonowanymi było 224 — wystaw przeglądowych bydła włościańskiego urządzono 16, na których przedstawionono 2013 sztuk bydła i wypłacono premie w sumie 3646 zł. Wzorowych gnojarń założono sześć, za granicami monarchii zakupiono 34 sztuk bydła rozpłodowego i obfity materyał rozpłodowy dla chlewni centralnych. Liczba owczarń powiększyła się o sześć. We wrześniu r. z. odbyła się w Żabiu wystawa koni huculskich, która przekonała, że trzeba działać szybko, aby uratować te dzielne a dla górali nieodzowne konie. Postanowiono zakupić 8 ogierów i dać je na stacye.

Z przedłożonego bilansu okazuje się, że czysty majątek Towarzystwa wynosi 56.450 zł.

Zgromadzenie przyjęło to sprawozdanie do wiadomości, poczem dr. Tadeusz Pilat referował sprawę uregulowania pośrednictwa w dostarczaniu robotników gospodarstwom w kraju. — Zgromadzenie przyjęło jednomyślnie następujące wnioski:

I. Rada ogólna uznaje sprawę zapewnienia robotnika dla gospodarstw wiejskich za najpilniejszą i najdonioślejszą dziś sprawę rolniczą, od niej bowiem zależy utrzymanie dzisiejszych rozmiarów produkcyi krajowej i wszelkie zwiększenie jej intenzywności. II Uważając odpowiednią organizacyę pośrednictwa w pracy za jeden z najważniejszych środków zapewnienia robotnika, Rada ogólna wyraża życzenie, aby oddziały Towarzystwa gospodarskiego lub osobne związki pracodawców utworzyły taką organizacyę pośrednictwa w pracy i zapewniły jej z góry klientelę pracodawców w swoim okręgu. III. Rada ogólna domaga się wydania skutecznych zarządzeń przeciw nadużyciom, popełnianym przy wystawianiu duplikatów książek służbowych, tudzież kar przeciw tym, którzy służbę gospodarczą bez książek przyjmują. IV. Rada ogólna domaga się uregulowania w drodze ustawodawstwa krajowego prawnych stosunków pomiędzy pracodawcami rolniczymi a robotnikami najmowanymi czasowo do gospodarstwa rolniczego — a to w sposób uwzględniający słuszne interesa obu stron. Ustawa ta winna zapewnić dopełnienie przyjętych zobowiązań przez obie strony i ustanowić kary za nieusprawiedliwione zerwanie umowy. V. Rada ogólna poleca komitetowi, aby się odniósł do rządu i do Koła polskiego z przedstawieniem, że dla zwiększenia ilości rąk roboczych należałoby wyjednać urlopowanie na czas żniw żołnierzy-rolników, a w razie obawy zmarnienia plonów użycie żołnierzy jako siły roboczej.

Na wniosek przedstawiony przez Dra Ignacego Szyszyłowicza uchwalono także polecić Komitetowi, by zajął się rozwinięciem w kraju racyonalnej hodowli nasion rolniczych i leśniczych, by pośredniczył przy kupnie i sprzedaży tych nasion i by zwrócił się do rządu z prośbą o subwencyę na poparcie produkcyi nasion.

Po południu odbyły się narady poufne.

* * *

Na dzisiejszem posiedzeniu przed przystąpieniem do porządku dziennego, odczytał sekretarz Towarzystwa p. Skrochowski wnioski, postawione na wczorajszem posiedzeniu poufnem.

Oddział tarnopolski postawił następujący wniosek: Ponieważ ustawa o licencyonowaniu buhajów z 20 lipca 1892 nie została dotychczas należycie przeprowadzona, przeto poczyni Komitet odpowiednie kroki w Namiestnictwie i w Wydziale krajowym, by ta ustawa w całej rozciągłości weszła w życie. Wniosek ten przyjęto bez dyskusyi.

Oddział lwowski zaś postawił wniosek, by wybrano komitet wykonawczy, składający się z rolników, mających chęć do łączenia się w spółki rolnicze dla przemysłu młynarskiego i by ten komitet zajął się organizacyą i subskrybcyą na udziały potrzebne do wprowadzenia takich spółek w życie. Nadto ma ten komitet rozpatrzeć kwestyę, czy nie dałoby się równocześnie rozwinąć akcyi celem zakładania piekarń przy takich młynach. — Wniosek ten przyjęto i wybrano dla tej sprawy komitet z 7 członków, a mianowicie pp. Jana Breuera, bar. Juliana Branickiego, Maryana Jędrzejowicza, Stanisława Kierskiego, Kazimierza Madeyskiego, Stanisława Moysę i br. Ludwika Wattmanna.

Następnie przyszedł pod obrady wniosek o zmianę § 8 statutu Towarzystwa. — Referent p. Kierski proponuje następującą stylizacyę tego paragrafu: Tylko włościan niezamożnych może oddział zupełnie uwalniać od wkładki rocznej lub zmniejszać ją poniżej 5 zł. Niezamożnym zaś osobom stanu duchownego i nauczycielom ludowym, mogą oddziały zniżać wkładkę roczną aż do 1 zł.

W dyskusyi nad tą sprawą zabierało głos kilku mówców i popierało proponowaną zmianę statutu, jako sprzyjającą rozwojowi towarzystwa. Br. Julian Brunicki wniósł poprawkę, ażeby oprócz włościan wolno było przyjmować za niższą opłatą na członków Towarzystwa także niezamożnych małomieszczan, trudniących się rolnictwem. — W głosowaniu uchwalono odesłać sprawę tę do Komitetu celem rozpatrzenia jej i odpowiedniego wystylizowania zmienić się mającego paragrafu 8-go statutu.

Z kolei p. Cieński imieniem oddziału tarnopolskiego referował wniosek o polecenie Komitetowi, by poczynił starania o zmianę rozporządzenia ministeryum spraw wewnętrznych z 23 sierpnia 1899, zaliczającego siewniki do takich narzędzi, przy których robotnicy narażeni są na wielkie niebezpieczeństwo. Skutkiem tego rozporządzenia muszą rolnicy płacić wysokie opłaty za ubezpieczenie robotników, zajętych przy siewnikach, tymczasem robotnicy ci nie są wystawieni na najmniejsze niebezpieczeństwo, gdyż cała praca siewnika odbywa się w skrzynce zamkniętej, a tryby wystające na zewnątrz nie przedstawiają zgoła żadnego niebezpieczeństwa.

P. Fedorowicz poparł ten wniosek, gdyż zdaniem jego, jeżeli ma się ubezpieczać robotników zajętych przy siewniku, to należałoby także asekurować od nieszczęśliwych wypadków każdego takiego robotnika, który nosi kozik w kieszeni, bo on nim prędzej się może skaleczyć niż przy siewniku. P. Frommel również nazwał obowiązek ubezpieczania robotników przy siewnikach od nieszczęśliwych wypadków absurdem, natomiast p. Paygert oświadczył, że nie może podzielać zapatrywania, jakoby przy siewniku wykluczone było wszelkie niebezpieczeństwo — zresztą opłata asekuracyjna jest bardzo niska.

Dr. Tadeusz Pilat wykazywał, że nie tyle tu może idzie o samą opłatę, ile o rozmaite biurokratyczne udręczenia, połączone z ubezpieczeniem. Nadto oświadczył mówca, że dla rolnictwa powinien istnieć osobny Zakład ubezpieczeń. Wniosek oddziału tarnopolskiego przyjęto.

Sprawę podniesienia chowu koni roboczych i włościańskich referował ks. Witold Czartoryski i postawił wniosek zmierzający do tego, by rząd na stacyach ogierów trzymał dobre ogiery krwi oryentalnej jako dla nas najodpowiedniejsze.

W dyskusyi nad tą sprawą zabierało głos kilku włościan i domagało się premiowania płodnych klaczy i zwiększenia liczby ogierów rozpłodowych.

Najgoręcej przemawiał za premiowaniem klaczy włościanin Ochap z powiatu Jarosławskiego, p. Kajetan Abgarowicz zwrócił jednak uwagę jego na to, że gdyby chciano premiować każdą dobrą klacz w kraju, to trzebaby chyba na ten cel osobne podatki nałożyć. I tak wielkiem dobrodziejstwem jest to, że państwo i kraj zakupują ogiery i utrzymują je, trzeba się więc tem zadowolić, a nie żądać rzeczy niemożliwych.

P. Krzysztofowicz godziłby się co najwyżej na subwencyonowanie dobrych klaczy huculskich. W dyskusyi zabierali głos jeszcze pp. Brykczyński, Cieński, włościanin Ochap i referent ks. Witold Czartoryski.

Zgromadzenie poleciło komitetowi, by przedstawił rządowi potrzebę pomnożenia liczby klaczy w kraju i zajął się gorliwie sprawą podniesienia chowu koni włościańskich.

Z kolei przystąpiono do wyboru prezesa Towarzystwa w miejsce ks. Adama Sapiehy.

Wybrany został prezesem hr. Stanisław Stadnicki 58 głosami na 65 głosujących.

Nowowybrany prezes w serdecznych słowach podziękował za wybór, zapewniając, że ze wszystkich sił pracować będzie dla dobra Towarzystwa i dla tego zawodu rolniczego, który już w dzieciństwie ukochał i z którym się zrósł. (Huczne oklaski.)

Dalszy ciąg posiedzenia odroczono do godziny 5 popołudniu.

Wypadki na polowaniu.

Prawie w każdym sezonie myśliwskim zdarzają się nieszczęśliwe wypadki, wynikające z lekkomyślnego obchodzenia się z bronią palną lub wskutek wad wzrokowych osób, biorących udział w polowaniu. Sezon bieżący u nas wprawdzie należy pod tym względem do szczęśliwych, bo z nikąd nie donoszą, żeby były jakie przypadkowe zabójstwa lub okaleczenia, ale niech mimoto przestrogą dla naszych myśliwych i zachętą do jak najskrupulatniejszej przezorności będzie szereg wypadków, jakie się w tym roku na polowaniach w Niemczech wydarzyły.

Der deutsche Jäger opisuje ich aż 12 z czasu od listopada r. z. do połowy stycznia b. r.; są między niemi charakterystyczne i niezwykłe.

Myśliwemu z Panenu wybuchnął ładunek, gdy go wyjmował z lufy, i tak ciężko poranił twarz, że grozi mu utrata wzroku. Dzierżawca polowania w Ebersbachu, czatując w nocy „na wychodnego“, gdy o świtaniu usłyszał szelest i zobaczył zbliżający się jakiś przedmiot ciemny, dał do niego ognia i postrzelił kobietę i mężczyznę, którzy dróżką wracali z noclegu. Przedsiębiorca budowlany z Essenu wchodził do rewiru myśliwskiego Oding; towarzysz jego, włożywszy ładunki do luf, tak je nieszczęśliwie zatrzasnął, że obie wypaliły i przedsiębiorca, trafiony w głowę, padł trupem na miejscu. Właściciel ziemski z Pirów postrzelił śrótem drugiego, który niebacznie zeszedł ze stanowiska w głąb kniei. Gdy pewne towarzystwo myśliwskie przejeżdżało przez tor kolejowy około Hessheimu, jednemu strzelcowi broń wystrzeliła i zabiła Jurmana, a drugiemu myśliwemu pękła dubeltówka przy strzale i tak mu rękę poraniła, że musiano ją odjąć. Ta niefortunna broń była kalibru 8 mm., a ważyła tylko 3 klgr., gdyż niebaczny myśliwy chciał mieć dubeltówkę lekką, a niesumienny fabrykant zrobił mu taką, lecz za słabą: ostrożnie więc z tak nazwanemi *fusile plume*. Na polowaniu w Hammie myśliwy postrzelił w głowę naganiacza w chwili, gdy ten wychodził z krzaka, wziąwszy go za zwierzynę z powodu, że miał czapkę futrzaną. W Leuchtenburgu dwóch obywateli, polując na zające, przechodziło przez wał z bronią odwiedzioną, jeden z nich poślizgnął się i upadł, broń wystrzeliła i tak silnie zraniła drugiego w bok, że zachodzi obawa o jego życie. Pomijamy inne mniejsze wypadki, żeby jeszcze wspomnieć o dwóch charakterystycznych.

Staliśmy — opowiada myśliwy — za gęstym, na chłopa wysokim zagajnikiem, za którym był rów trzymetrowy, a za nim znów zagajnik z większemi w nim drzewami. Obok mnie stał myśliwy, którego wzrok bystry i nadzwyczaj buńczuczna mina zapowiadała strzelca nielada. Mimo to nie bardzo mu dowierzałem, gdyż broń nosił nieostrożnie, a nadto zabił kozę, utrzymując, że widział u niej rogi, gdy przebiegała koło niego. Wtem pomyka zając za rowem i tuż przed nagonką. Mój sąsiad podskakuje naprzód i pali, zając kłania się tylko osmykiem i ucieka, ale jeden z naganiaczy krzyczy: „Pan mnie postrzeliłeś!“ Tymczasem szarak wraca się i przebiega pomiędzy mną a myśliwym, co to widział kozę z rogami. Nie czekam więc, co będzie dalej, i chowam się za drzewo — za późno: dzielny myśliwiec już palnął i wpakował mi kilka śrócin w udo! Po obejrzeniu rany i paru słowach przeproszenia, znakomity nemrod powiedział mi na pocieszenie: „Bądź pan kontent, że nie miałem z sobą mojej trójlufki i nabitej kulami!“ Czyż to nie rzadki dublet i prawdziwy dowcip niemiecki? Ale jeszcze lepiej niż z dubletem popisał się inny myśliwy, zaproszony na polowanie w okolicy Baumholder w Moschthalu. Ten postrzelił odrazu strzelca, czterech naganiaczy i zająca. Sześć sztuk — bagatela.

I jakiż z tego wszystkiego sens moralny? Naprzód ten, że każdy z wymienionych wyżej wypadków jest dowodem innego rodzaju nieostrożności i nauką, czego należy strzedz się i unikać. Następnie ten, że Niemcy bardziej zapalają się na polowaniu i niebaczniej obchodzą się z bronią, niż my, że z właściwą sobie gburowatością lekceważą życie bliźniego i że żaden z naszych myśliwych nie zdobyłby się, jak ów nemrod, na podobnie niesmaczny koncept w chwili nieszczęśliwego wydarzenia. Potem ten, że jeżeli w bieżącej porze polowań uniknęliśmy dotąd takich wypadków, to może więcej skutkiem szczęścia niż istotnej przezorności i rozwagi, że więc nie należy chełpić się z tego, zwłaszcza, że sami nie jesteśmy także bez grzechu, ale raczej, że powinniśmy wziąć sobie za punkt honoru myśliwskiego, żeby takich nieszczęść u nas nigdy nie było. Dalej jeszcze ten, że przysłowiowe *polnische Wirthschaft*, którem Niemcy tak szczodrze nas kłują, można w tym razie, odpłacając pięknem za nadobne, z wszelką słusznością odwrócić i na *deutsche Wirthschaft* zamienić. Wreszcie najtreściwszy sens moralny przestroga; ostrożnie z bronią!

Z izby sądowej.

Kraków, 6 marca.

(„Zły duch“ Pogorzyc).

Dziś skończyła się tu dwudniowa rozprawa, w której oskarżonym był Jan Lipnicki, ze wsi Pogorzyc, której był prawdziwą plagą i postrachem; chodził on bez zezwolenia władzy i bez żadnej potrzeby ze strzelbą na ramieniu, by tem większą wywoływać trwogę, a gdy tak uzbrojony wszedł do karczmy i „poprosił“ o piwo, wódkę, przekąskę i cygara, to szynkarka Helena Scharfowa prośbie tej nie odmawiała prawie nigdy; gdy zaś poważyła się odmówić, słyszała pogróżki zapowiadające pobicie, a nawet zabicie. Lipnicki dotąd był 11 razy karany za zbrodnię kradzieży, 13 razy za różne przekroczenia mimo to kradł dalej, szczególniej gęsi. Prócz tego raz rzucił się był na wójta z nożem, gdy mu zabronił zabawki, polegającej na wrzucaniu w karczmie naboi karabinowych do gorejącego pieca. Lipnicki nadto w biały dzień przemocą uprowadził do lasu dziewczynę Juliannę Bębękównę i przetrzymał ją tam cały dzień. Wreszcie żandarmerya wzięła się do Lipnickiego; w czasie aresztowania rzucił się on na żandarma, a następnie zelżył komendanta posterunku. To też za swoje sprawki Lipnicki zasiadł wczoraj na ławie oskarżonych pod zarzutem zbrodni gwałtu publicznego, sprzeniewierzenia, ograniczania wolności osobistej, usiłowanego zhańbienia i czterech przekroczeń. Oskarżony wygląda w istocie odstraszająco, jest dobrze zbudowany, o cokolwiek skręconych nogach, a w oczach jego przebija się zawziętość i dzikość.

Po przeprowadzonej rozprawie sędziowie przysięgli z przedłożonych im 13 pytań zatwierdzili 10. Na tej podstawie skazał trybunał Lipnickiego na 7 lat ciężkiego więzienia, obostrzonego postem raz na miesiąc. Zasądzony wyrok przyjął.

KRONIKA.

Lwów 7 marca.

Taktyka „Słowa Polskiego“. Od pana Krzysztofa Janowicza otrzymujemy następujące pismo:

„Wielce Szanowna Redakcyo!

Wobec faktu, że *Słowo Polskie* w wieczornem wydaniu z dnia 6 bm. ogłosiło moją prywatną rozmowę, mianą w mej kawiarni z jednym z współpracowników tego pisma, w sposób tendencyjnie przekręcony, przesłałem dzisiaj redakcyi tego pisma poniżej podane sprostowanie z prośbą o umieszczenie. Ponieważ jednakże zachodzi obawa, że *Słowo Polskie* z łatwo zresztą zrozumiałych powodów to sprostowanie dopiero po wyborach zamieścić gotowe, przeto ośmielam się przesłać je i Wielce Szanownej Redakcyi z uprzejmą prośbą, by je w najbliższym numerze raczyła podać do publicznej wiadomości.

Oto odpis sprostowania przesłanego Redakcyi *Słowa Polskiego*:

„Na podstawie § 19 ustawy prasowej upraszam o umieszczenie następującego oświadczenia. W wieczornem wydaniu *Słowa Polskiego* z dnia 6 bm. zamieszczono w kronice pod nagłówkiem „fałszerstwa kliki wyborczej“ moje zapatrywania na obecne wybory, ale niestety zupełnie przekręcone. Ponieważ zależy mi na tem, by poszczególne jednostki nie wprowadzały publiczności w błąd i nie mąciły już i tak dość zamąconej opinii publicznej, przeto zechce Szanowna Redakcya w najbliższym numerze swego pisma umieścić co następuje:

Prawdą jest, że w prywatnej rozmowie z jednym z współpracowników *Słowa* wyraziłem się, że jako mieszczanin lwowski jestem przeciwny nie osobie Dr. Piętaka, ale wogóle temu, by reprezentantem stolicy kraju w Sejmie był w ogóle minister, a więc figura rządowa, dodałem jednakże, a tego już ów pan nie raczył zamieścić, że wobec kandydatury p. Daszyńskiego, ja jako prawy Polak i mieszczanin lwowski, poczytuję sobie za święty obowiązek w tym wypadku nietylko głosować za ministrem Dr. Piętakiem, ale także tę kandydaturę wedle sił popierać. Odezwy rozlepionej w mieście, a polecającej kandydaturę ministra Dra Piętaka osobiście nie podpisywałem, atoli wobec tego

że wiadomo jest wszystkim wogóle, iż członkowie klubu mieszczańskiego obowiązani są postępować solidarnie — ja zaś członkiem tego klubu jestem, klub był w zupełnem prawie na wydanej przez się odezwie, umieścić nazwiska wszystkich swych członków, a więc i moje. Ja zresztą nietylko nikogo nie prosiłem o to, by w mojej stawał obronie, ale przeciwnie publicznie oświadczam, że z odezwą, na której moje nazwisko umieszczono, w zupełności się solidaryzuję, odpowiada ona bowiem w obecnem położeniu — mojemu najgłębszemu przekonaniu".

Z głębokiem poważaniem

Krzysztof Janowicz.

Zgromadzenie żydowskich wyborców odbyło się wczoraj wieczorem w szkole izraelickiej przy ul. św. Stanisława. Zebrała się sama śmietanka młodej inteligencyi żydowskiej, wszyscy prawie, z jakimś bardzo nieznacznym wyjątkiem, ze stopniem doktorskim. Przewodniczącym zgromadzenia wybrano adwokata dra Aschkenazego, tego, który nietylko przez izraelitów uważanym jest obecnie za jednego z najlepszych lwowskich obrońców. Zgromadzenie polegało na tem, że jeden z młodych adwokatów żydowskich, po drugim, kolejno, zachwycał się panem Daszyńskim, jego inteligencyą, jego uczciwością, jego odwagą, jego wymową etc. etc. — i trzeba było iście wschodniej fantazyi mówców, żeby przecież każdą mowę urozmaicić, i mówiąc to samo, robić wrażenie, że jednak mówi się coś innego, zwłaszcza, że oprócz superlatywów na cześć Daszyńskiego wszystkie te mowy zawierały jak najpospolitsze obelgi, wystosowane do t. zw. konserwatywnych żydów, czyli — jak ich tam wczoraj nazywano — stańczyków żydowskich. Z mów wczorajszych dowiedzieliśmy się, że prezesem tych „stańczyków", jest dr. Emil Byk, nadto, że należą do tej znienawidzonej grupy wszyscy rabini, przełożeństwo Zboru izraelickiego i wogóle wszyscy izraelici poważani, zasłużeni w kraju i mieście, pracujący już na rozmaitych polach publicznych i wysoko cenieni za swą inteligencyę i prawy charakter zarówno przez innych porządnych izraelitów, jak i przez ogół chrześcijański. Pod ich adresem wrzeszczano ciągle: „pereat!" „hańba!" „precz z nimi!" (Niech drowi Aschkenazemu w ucieszę wczorajszej strumieniem zimnej wody będzie nasza przepowiednia, iż za lat dziesięć zaliczą go inni młodzi, jego i jego kolegów dzisiejszych, także do „żydowskich stańczyków" i będą mu krzyczeli „precz z nim"). Zgromadzenie miało się już ku końcowi, gdy na salę wszedł Daszyński, który przemawiał gdzieś w jakimś szynku na jakiemś zgromadzeniu robotniczem. Pojawienie się jego powitała śmietanka młodej inteligencyi żydowskiej frenetycznymi oklaskami, a dr. Aschkenazy zawołał do Daszyńskiego: „mistrzu! chodź! miliony serc biją tu dla ciebie!" Po mowie Daszyńskiego całe to zgromadzenie udało się na ul. Jagiellońską przed mieszkanie dra Byka i urządziło mu kocią muzykę, a potem powtórzyło tę orkiestrową produkcyę przed gmachem zboru izraelickiego przy ul. Bernsteina.

Pogrzeb śp. ks. biskupa Soleckiego. Piszą nam z Przemyśla: W poniedziałek po południu przeniesiono zwłoki śp. ks. biskupa z pałacu biskupiego do katedry; zwłoki spoczęły w czarnej granitowej trumnie. Duchowieństwo obu obrządków odprawiało przez noc całą przed katafalkiem modły, a we wtorek rano wigilie i dwie Msze pontyfikalne. Następnie poseł ks. dr. Fiszer w skromnych i szczerych wyrazach skreślił zacny żywot zmarłego, a po egzekwiach, o godzinie 1 w południe kondukt pogrzebowy udał się na cmentarz. Na czele postępowały liczne bractwa kościelne z chorągwiami i cechy z swemi insygniami; dalej „Gwiazda" z sztandarem i muzyką, oddział „Sokołów" i liczne inne stowarzyszenia, młodzież szkolna, a za krzyżem, w dwóch długich szeregach duchowieństwo, następnie książęta kościoła: książę biskup ks. Puzyna, ks. arcybiskup Morawski, księża biskupi Łoboz, Pelczar, Czechowicz i Szeptycki, oraz księża mitraci: Bielecki i Wołoszyński. Za trumną postępowała rodzina, dalej arcyksiążę Ferdynand Leopold z jenerałem Galgo'zym i ciałem oficerskiem, namiestnik delegacya Wydziału krajowego, rektor i dziekani uniwersytetu lwowskiego, delegaci Koła polskiego, delegacya lwowskiej Rady miejskiej i wielu innych miast, wreszcie liczny zastęp obywatelstwa, mieszczaństwa i ludu wiejskiego z dóbr biskupich. Serdecznemi słowy pożegnał zwłoki zmarłego u stóp mogiły ks. dr. Pelczar. Wieńców było mnóstwo.

Zatwierdzenie szlachectwa. Cesarz zatwierdził staropolskie szlachectwo emerytowanego radzcy dworu Jana Kantego Falkowskiego i jego trzech synów Jana Stanisława Augusta, Antoniego Edmunda Feliksa i Alfreda Ludomira Jana Kantego, tudzież dwóch bratanków Władysława Karola i Stanisława Michała Falkowskich z prerogatywami austryackiego stanu rycerskiego i herbem „Doliwa".

„Teatr miłośników sceny" urządza w niedzielę dnia 11 bm. 8 me z rzędu przedstawienie na cel dobroczynny. Cały dochód przeznacza wydział Towarzystwa na korzyść wielce zasłużonego u nas „Towarzystwa ratunkowego". Zarząd teatru stara się, aby przedstawienie to w niczem nie ustępowało poprzednim, dlatego też próby odbywają się już od 2 miesięcy pod kierownictwem p. Jana Nowackiego, reżysera Towarzystwa. Odegraną zostanie znakomita, pełna humoru i dowcipu komedya w 5 aktach Aleks. hr. Fredry (syna) pt. „Wielkie bractwo", która cieszyła się niegdyś na scenie lwowskiej wielkiem powodzeniem. Spodziewamy się, że nasza publiczność, która tak chętnie spieszy, gdy idzie o cel dobroczynny, nie ominie i tym razem sposobności, aby dopomódz tak pożytecznemu a tak mało popieranemu przez ogół „Towarzystwu ratunkowemu", a zarazem dać wyraz sympatyi niezmordowanym miłośnikom. Bilety po cenie: krzesło w pierwszych rzędach 2 K., w następnych 1 K., nabyć można w lokalu stacyi ratunkowej i w drogueryi p. Pilarskiego, Akademicka 3.

Konkurs rozpisało prezydyum krajowej Dyrekcyi skarbu na posadę salinarnego rachmistrza w Bochni w XI randze; termin do 27 bm.

Rezygnacya. Wybrany przed trzema dniami burmistrzem Nowego Sącza adwokat dr. Gałkiewicz, nie przyjął tego wyboru.

Pomnik Kościuszki w Krakowie. W sprawie, podniesionej w krakowskiej Radzie miejskiej przez prof. dra Jordana, o niewysyłanie pomnika Kościuszki do odlewarni zagranicznej, obradowała tymi dniami specyalna komisya i wydała jednomyślnie orzeczenie, że pomnik ten może rzeczywiście być odlany w kraju, a wybór pomiędzy ofertami pozostawiła pełnemu komitetowi budowy pomnika. Nadesłane oferty firm krajowych są: Jakubowskiego i Jarry, oraz Ziembowskiego i Sp. w Krakowie, jakoteż Kowalkowskiego, Lorii i Dedrzeńskich z Podgórza.

Zwłoki człowieka około lat 40, izraelity, licho odzianego, znaleziono dziś rano w sieni domu przy ul. Starozakonnej, l. 3, gdzie mieści się lokal noclegowy dla bezdomnych. Śladów zbrodni na zwłokach nie ma. Nikt z sąsiadów nie wie, kim był zmarły ani jak się nazywał.

Nie udało się. Dziewiętnastoletni pomocnik hotelowy Michał Herchenreder skradł swemu „przełożonemu", służącemu Hotelu Europejskiego, Franciszkowi Łozińskiemu 100 K. Sprawił więc sobie ubranie, wyelegantował się, jak sam pragnął, kupił bilet kolejowy do Rawy i za parę minut miał odjechać do domu rodzicielskiego, gdy w tem zjawił się ajent policyjny, który już śledził młokosa, i zaaresztował, w obec czego Herchenreder z rozpaczy i złości potargał bilet kolejowy.

I „niewinny" i „świadek" w kozie. Antoniego Wilczyńskiego schwytał ajent policyjny na sprzedawaniu budzika, który zginął był pewnemu porucznikowi z mieszkania przy ul. Lelewela. Wilczyński zaświadczył się jakimś swoim znajomym, iż budzika nie ukradł, lecz kupił. Ale i świadek nie wzbudzał zaufania, zrewidowano go więc i znaleziono przy nim również budzik. Obydwóch zatem „właścicieli" budzików aresztowano, a oba budziki zdeponowano na policyi.

P. Julian Myszkowski, reżyser i artysta naszej operetki, prosi nas o skonstatowanie faktu, że wiadomość, która się wczoraj w kilku pismach pojawiła, jakoby on zamierzał opuścić szeregi bojowników o dobry humor w naszej operetce, jest fałszywą. Pan Myszkowski utrzymuje, że nie życzy sobie wdzięczniejszej publiczności jak lwowska, postanowił więc wytrzymać we Lwowie aż do 50-letniego jubileuszu. „Potem zobaczymy!" — rzekł nam pan Myszkowski.

Chwalebne postanowienie. Obywatelka ziemska pani Anna Czaykowska, zamieszkała pod Kamieńcem Podolskim, a utrzymująca we Lwowie przy ul. Zygmuntowskiej l. 1 skład drzewa opałowego, donosi nam, że z dniem 15 bm. od każdego sprzedanego sąga drzewa składać będzie po 20 halerzy na rzecz budowy sanatoryum dla suchotników w pobliżu Lwowa, na który-to cel my zbieramy składki.

Kradzież drobiu panuje epidemicznie we Lwowie tej zimy. Nie ma dnia, by się obeszło bez wypadków tego rodzaju kradzieży. Znowu dzisiejszej nocy skradziono przy ul. Boczkowskiego kilkanaście sztuk drobiu. Ponieważ zdobycz ta zwykle idzie zaraz pod nóż i do garnka, policya ma bardzo utrudnioną pracę w wyśledzeniu złodziei drobiu.

Zagubił się 14 letni Antoni Cybulka, ciemny blondyn. Rodzice szukają go od trzech dni, jak dotąd — bezowocnie.

Kradzież z włamaniem popełnił tej nocy jakiś opryszek w fabryce maszyn „Pe kun" przy ul. św. Marcina i zabrał cyrkle i ciężką waliskę. Ponieważ w walizce znajdowały się książki, przedmiot dla złodziei wcale nie pożądany, więc walizkę tę porzucono na ul. Pełtewnej, a stamtąd organa policyjne sprowadziły ją do dyrekcyi policyi.

Znalazł futro. Znaleść futro w zimie — byłby to dowód niezwykłej przychylności losu. A jednak Leon Mordawski utrzymywał, że znalazł futro z tchórzów amerykańskich, gdy ajent policyjny przyłapał go na sprzedaży tego miłego okrycia, i to na sprzedaży za bezcen. Futro takie, a bodaj czy nie to samo, skradziono 22 z. m. z wozu kupcowi Groskopfowi z Gołogór. Mordawskiego aresztowano.

Edmund Grieg, słynny kompozytor duński, zamieszkały w Kopenhadze, ciężko zaniemógł.

Najstarszym kapłanem na świecie — wedle *Kuryera Poznańskiego* — jest ks. Piotr Baranowski, proboszcz w Tychnowach w dekanacie sztumskim na Warmii. Urodzony 2 stycznia 1805 r., ks. Baranowski otrzymał święcenia w r. 1833, w Tychnowach zaś przebywa jako proboszcz od r. 1838. Pomimo skończonych lat 95, staruszek codziennie odprawia mszę św., słucha spowiedzi i miewa kazania. Sam dogląda pola i ogrodu; umysł posiada żywy, interesuje się też wszystkiem i pilnie czytuje gazety.

Kult Matki Boskiej Częstochowskiej kwitnie w rzeczypospolitej Chili w Ameryce środkowej. Wydano tam właśnie broszurę o obrazie „de la S. S. Virden de Claro Monte de Creztocohova (!) patrona de Polonia", którego kopia znajduje się w tamtejszym kościele. Kult ten rozpowszechnia syn znakomitego przyrodnika i niegdyś prof uniw. w Chili, ks. Domeyko.

Biała róża. Zapytajcie fanatyka róż, a odpowie wam z pewnością:

— Tylko róża biała jest różą, bo jest naturą. Wszystkie inne róże: herbaciane i nieherbaciane, od żółtych aż do czarnych są tylko sztuką.

Najczystsze z róż, róża biała, miała zawsze swoich wielbicieli. W czasie pobytu w więzieniu Marya Antonina otrzymywała codziennie z rąk ludzi, którzy, pomimo nieszczęścia, pozostali wierni swej królowej, jedną różę białą, i zdobiła nią skromną swoją suknię z grubej czarnej wełny. Za Restauracyi róża biała była symbolem, używanym stale przez monarchistów, w przeciwieństwie do róż różowych, używanych przez zwolenników reprezentacyjnej formy rządu. Zdarzały się często pojedynki z powodów politycznych, a dzienniki zamieszczały wiadomości, głoszące, iż „w dniu tym a tym biała róża zabiła różę różową". Wszyscy wiedzieli, co to znaczy.

Róża biała była ukochanym kwiatem George Sand, Chateaubrianda, Lamartina, a zwłaszcza Karola Nodiera, który w świeżo wydanych pamiętnikach opowiada jedną ze swych przygód w poszukiwaniu róż białych.

Pewnego letniego poranku z książką w ręku Nodier udał się do ogrodu Luxemburskiego i usiadł nawprost wielkiego krzaka białej róży, napawając się cudnym zapachem. Po chwili nadszedł jakiś jegomość bardzo przyzwoicie ubrany, różowy na twarzy, ze spojrzeniem łagodnem, ze stałym uśmiechem na ustach. Przybyły usiadł na tej samej ławce, widocznie zwabiony krzakiem, osypanym białemi kwiatami.

— Ach — rzekł do Nodiera — co za cudne róże!

— Prześliczne — odparł żywo autor „Trilby", rad, że ma przed kim wylewać swoje zachwyty. — Gdybyś pan przyszedł do mnie, do mego ogródka przy Arsenale, gdzie jestem bibliotekarzem, tam dopiero ujrzałbyś piękne róże białe!

— Hm... róże białe! — odparł nieznajomy — to moja namiętność. Nie ujmuję pańskim różom w ogródku przy Arsenale, ale jestem prawie pewny, że moje róże przy ulicy Saint-Jacques są najpiękniejsze w Paryżu.

— Po moich, chyba! — odparł Nodier urażony — możesz pan co o nich słyszał? Nazywam się Karol Nodier...

Jegomość uśmiechnął się pobłażliwie.

— Znam pańskie książki, panie Nodier, i jestem ich wielkim zwolennikiem. Znam także pańskie róże, bom je kiedyś widział na wystawie w Tuilleries. Zapewniam pana, że moje są piękniejsze...

— Ale któż pan jesteś?

— Nazywam się Legrand, mieszkam przy ulicy Saint-Jacques nr. 93. Jeżeli zaszczycisz mnie pan swoją wizytą, ujrzysz róże białe najzupełniej bez konkurencyi.

— Będę u pana jutro — rzekł Nodier, zaintrygowany niezmiernie.

Jakoż nazajutrz o wymienionej godzinie Nodier był w miejscu wskazanem, gdzie znalazł maleńki, niski domek p. Legranda. Z tyłu ciągnął się niewielki ogródek, a w nim rosły istotnie piękne nieporównanie, najrozmaitsze rodzaje róż białych. Nodier był w swoim żywiole. Jak żyje, nie widział takiej wspaniałej kolekcyi. Widocznie p. Legrand był nietylko amatorem, ale wytrawnym, umiejętnie prowadzącym hodowlę ogrodnikiem. Zwłaszcza jeden punkt ogrodu zwracał uwagę: Z dachu jakiejś szopy spływała istna róż kaskada, która stanowiła niejako ścianę budynku. Kaskada tych róż białych była tak zwarta, że za nią oko z trudnością rozróżniało kontury jakichś maszyn, widocznie gospodarczych, stojących w głębi szopy.

Nodier musiał się uznać za zwyciężonego.

— Panie! — rzekł z najwyższem uwielbieniem — znam się na różach i widziałem różne ich kolekcye. Ale tego, co tu widzę, zaiste, nie zdarzyło mi się spotkać nigdy w życiu. Panie Legrand, jesteś człowiekiem szczęśliwym!

W parę tygodni później Nodier przechadzając się po bulwarze du Temple z jednym z sędziów trybunału, ujrzał pana Legranda. Zdjął tedy kapelusz i przed zwycięscą swym złożył ukłon głęboki.

— Komu się pan kłaniasz? — zapytał sędzia.

— Panu Legrand! Zachwycający człowiek — rzekł akademik żywo. — Mieszka przy ulicy Saint-Jacques i ma najpiękniejsze na świecie róże białe.

— A w chwilach wolnych od hodowania tych róż białych... ścina głowy.

— Jakto?

— To jest kat paryski, który mieszka przy ulicy Saint-Jacques ze swoją gilotyną.

— A więc za tą przepyszną, nieprawdopodobnie piękną kaskadą róż na owej szopie w ogrodzie rysują się kontury...

— Gilotyny — dokończył sędzia filozoficznie.

Odtąd Nodier nie zazdrościł już panu Legrand róż białych...

Naiwny wierzyciel. Pewnemu kupcowi w Paryżu, pomocnik sprzeniewierzył trzy tysiące franków i znikł bez śladu. Po siedmiu latach spotyka ów kupiec złodzieja na ulicy, zaczepia go i żąda zwrotu pieniędzy. Ten przyznaje, że je od niego sobie samowolnie pożyczył, i że ta „pożyczka" wyszła mu na korzyść, albowiem obecnie doszedł do majątku i jest akredytowanym w banku. Oświadcza tedy ów złodziej, że mu da czek do banku na pięć tysięcy franków, gdyż mniejszych czeków tam nie przyjmują. Prosi byłego pryncypała, aby mu resztę od należących się pieniędzy, tj. dwa tysiące franków wypłacił, a jutro rano wymienił w banku czek na pieniądze. Eks-pryncypał uwierzył w uczciwość dłużnika, wziął czek i wypłacił dwa tysiące franków. Ten podziękował i odszedł. Kupiec nazajutrz udał się do wskazanego banku i okazał czek, lecz powiedziano mu, że owego dłużnika nikt w banku nie zna; tak więc ów naiwny wierzyciel dopłacił złodziejowi do poprzednio ukradzionych, jeszcze 2000 franków.

Dla krzewienia trzeźwości. Car Mikołaj II przeznaczył z funduszu budżetu nadzwyczajnego 150.000 rubli na wzniesienie w Warszawie domu ludowego, w którym oprócz teatru, powinny mieścić się: czytelnia, herbaciarnia i rozmaite rozrywki hygieniczne dla ludu.

Nowa dolina śmierci. Dotychczas znano dwa miejsca na świecie, ziejące śmiercią: grota w Puzzuoli (Włochy południowe), przesiąkła zabójczymi gazami, które trują każdą żywą istotę i dolina Guevo-Upas na wyspie Jawie, nad którą unoszą się także trujące wyziewy. Pewien amerykański podróżnik odkrył świeżo w Kaliforni otoczoną skałami dolinę, przesyconą różnymi zabójczymi miazmatami. Ta dolina śmierci leży na pograniczu terytoryum Yellowstone, w zachodniej części Stanów Zjednoczonych.

Curiosum. Jakiś przemysłowiec w Lipsku, wyczytawszy gdzieś nazwisko pana Jana Turno, ze Słomowa, zgermanizował je w swój sposób, i zaadresował list: „An de Jahn'schen Turnverein in Slomewo".

Ofiary. Dla chorej akuszerki F. K. otrzymaliśmy od p. Jana B. z Dzikowca 6 K., a dla pozbawionego obu nóg Wojciecha Szubińskiego od p. A. S. z Tarnopola 2 K.

Zmarli. W Brodach Franciszek Adlof, emer. dyrektor gimnazyum w Brodach, lat 64.

Stan powietrza. T. o g. 7 rano —5, w poł. —1 R. Bar. 761. Spada. Pogoda.

Z rozmów poufnych za wachlarzem.

— Ktoś powiedział, że miłość to bogini, a kobiety — to jej kapłanki. Jakaż rola pozostaje dla nas, mężczyzn, u ołtarza tej bogini? Jak pani sądzi?

— Sądzę, że panowie jesteście materyałem do ofiar.

— A z czegóż składa się ten materyał?

— Przeważnie z baranów ze złoconemi rogami.

Repertuar teatru hr. Skarbka. Dziś we środę „Wróble", komedya Labicha i Delacour. We czwartek „Dalibor". W piątek po raz 1-szy „Dzierżawca z Olesiowa", komedya w 4 aktach Zygmunta Przybylskiego. W sobotę po południu „Król Lear", tragedya w 5 aktach Szekspira, wieczorem „Trubadur", wielka opera w 5 aktach Verdiego. W niedzielę po południu „Wróble", wieczorem „Faust", wielka opera w 5 aktach Gounoda. W poniedziałek „Dzierżawca z Olesiowa", We wtorek „Lalka", operetka w 4 aktach Audrana. We środę „Dzierżawca z Olesiowa".

Część ekonomiczna

§ **Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu.** Kraków 6 marca.

Z powodu mroźnego powietrza usposobienie na giełdach zbożowych cokolwiek się wzmocniło, a na tutejszym targu sytuacya zmieniła się o tyle tylko, że ceny dotychczasowe utrzymały się, a zaofiarowanie nie było tak natarczywe, jak dotychczas.

Płacono: pszenicę białą od 7.30—8 10 kor. czerwoną 7.20—8.20 kor., żółtą 7.20 do 8.20 kor. żyto 6.10 do 6.65 k., jęczmień browarny 6.70 do 6·75 k., na krupy 5.40 do 5.75 kor., owies 5.50 do 6 00 k.. rzepak 11 40 do 11.80 k., konicz czerwony —.— do —.—, biały —.— do —.—, kukurudza —.— do —.— kor. wszystko za 50 kilogramów.

Gal. Bank dla handlu i przemysłu.

§ **Z kolei.** Austryacko-węgiersko-rosyjski związek kolejowy. Z ważnością od dnia 1 marca n. st. (17 lutego st. st.) 1900 weszła w życie nowa taryfa, część I rozdział A.

Południowo - niemiecko - austryacko - węgierski związek kolejowy. Z ważnością od dnia 1 marca 1900 wszedł w życie dodatek IV do części II zeszyt D (zeszyt wspólny) z 1 kwietnia 1895.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

Wiedeń 7 marca. Dzienniki, omawiając wczorajszą dyskusyę w Izbie panów, podnoszą powagę, jaka cechowała cały przebieg obrad, mimo że podczas nich uwydatniła się silna różnica zdań.

Wedle *Fremdenblattu* wczorajsze posiedzenie dowiodło, że Izba panów nie straciła nic ze swej siły w tak trudnem położeniu, a *N. Fr. Presse* widzi zasługę Izby panów w tem, że wcale niepięknemu sposobowi narad w Izbie posłów przeciwstawiła szlachetny, pełen taktu spokój, panujący przez całe wczorajsze posiedzenie.

Wiedeń 7 marca. Żądanie kredytu dodatkowego do preliminarza inwestycyjnego w sumie 1,700.000 koron uzasadnia ministeryum skarbu tem, że zażądany przez rząd w ubiegłej jesieni w przedłożeniu, dotyczącem zapomóg z tytułu klęsk elementarnych, mianowicie z tytułu zeszłorocznych powodzi kredyt 3 mil. złr. na usunięcie szkód, wyrządzonych przez powódź kolejom państwowym i na zabezpieczenie urządzeń kolejowych przeciw ponowieniu się tych szkód, został w porozumieniu z rządem zniżony o 850.000 złr., aby tę ostatnią sumę można było obrócić na złagodzenie innych następstw klęsk elementarnych. Obecnie zatem domaga się rząd owej kwoty 850.000 złr. czyli 1,700 000 koron na cele kolejowe z funduszu inwestycyjnego.

Budapeszt 7 marca. Świadkowie barona Banffy'ego wystosowali do wydawcy *Vaterlandu* telegram, w którym przyjmują do wiadomości oświadczenie tego dziennika, że nie chciał on naruszyć czci barona Banffy'ego, wzywają jednak ów dziennik, ażeby twierdzenie swe o rzekomem niezwróceniu t. zw. funduszów partyjnych sprostował o tyle, iż bar. Banffy wszystko, czem rozporządzał w chwili ustąpienia, oddał swojemu następcy. Rzekomy fundusz wyborczy z roku 1898 wogóle nigdy nie istniał. W końcu domagają się świadkowie, aby wskazano im autora wiadomości *Vaterlandu*, lub aby wydawawca dał satysfakcyę bar. Banffye'mu.

Petersburg 7 marca. *Petersburger Herold* (dziennik wychodzący po niemiecku) omawia w artykule wstępnym ostatnią mowę p. Horzicy w parlamencie wiedeńskim, zwróconą przeciw pokojowej polityce Rosyi i odpiera stanowczo twierdzenia posła młodoczeskiego. Pismo to zaznacza przedewszystkiem, że zagranica spogląda obojętnie na zajścia w wiedeńskim parlamencie, ponieważ wie, że byt Austryi jest zapewniony także bez pomocy stronnictw austryackich. Szczególnie skargi posła Horzicy na przymierze rosyjsko-francuskie wywołały w Petersburgu tylko uśmiech pobłażliwy, a jego ataki na rosyjską politykę pokojową uważane są tu jedynie jako objaw zadziwiającej śmiałości. Ideę konferencyi w Hadze wszystkie narody przyjęły życzliwie; oczywista rzecz, że to tylko pierwszy krok na drodze do wielkiego celu. Podczas gdy konferencya pokojowa obecnie już zaznaczyła bez kwestyi poważne ślady, p. Horzica ośmiela się mówić o bladze. Ojczyzna nasza — kończy to pismo — ma czysto rosyjski interes w tem, aby sąsiadować z państwami silnemi i konserwatywnie administrowanemi, których prawa szanuje tak samo, jak one respektują nasze prawa. Natomiast małe, niespokojne demokracye na naszych granicach nie obudzałyby w nas żadnej sympatyi.

Paryż 7 marca. Senat apelacyjny policyi poprawczej zatwierdził wyrok pierwszej instancyi, wydany w procesie Assompsyonistów i utrzymał w mocy orzeczenie co do rozwiązania kongregacyi.

Londyn 7 marca. Izba gmin przyjęła między innymi wniosek kanclerza skarbu, domagający się upoważnienia do zaciągnięcia pożyczki w sumie 35,000 000 szterlingów.

Paryż 7 marca. Według oficyalnego ogłoszenia prezydent Loubet dokona w dniu 14 kwietnia aktu otwarcia wystawy międzynarodowej.

Londyn 7 marca. *Times* donosi z Kapsztadtu, że na okręcie transportowym, który przybył tam z Rosario, stwierdzono wypadek dżumy. Okręt wzięto w kwarantannę.

Wiedeń 7 marca. Koło polskie odbyło dziś poufną naradę nad wyborem wiceprezydenta Izby, poczem p. Rapoport przedłożył petycyę krakowskiej Izby handlowo przemysłowej o regulacyę żeglugi handlowej na Wiśle Wybrano dla sprawy tej komisyę, w której skład weszli pp. Rapoport, Milewski, Weigl, Górski i Kolischer.

Londyn 7 marca *Times* ogłasza artykuł, w którym powiada: Naród angielski aż do ostatniej wojny nigdy jeszcze nie wywołał w szerokich kołach zagranicznych tyle zawiści i zazdrości, jak obecnie Radość z powodu klęsk, jakie Anglicy z początku wojny ponosili, wywołała w Anglii wielkie zdziwienie. Naród angielski w ostatnich miesiącach otrzymał nader pouczającą lekcyę i będzie wiedział, jak na przyszłość ma urządzić swoją politykę.

Wiemy — pisze *Times* — ile warte są patetyczne frazesy prasy zagranicznej na rzecz Boerów; pomimo tych frazesów nikt palcem nie ruszy, aby Boerom przyjść z pomocą, bo rozumne zachowanie się wszystkich mocarstw dowodzi, że żaden mąż stanu kierujący polityką zagraniczną nie zechce nieopatrzną swą interwencyą wywołać pożaru światowego.

Wojna w Afryce.

Capstadt 7 marca. Dotychczas przywieziono tu z Paardebergu 3.660 jeńców boerskich.

Dordrecht 7 marca. Dywizya generała Brabanta zdobyła na Boerach kilka wozów, a między tymi wóz naładowany karabinami systemu Martiniego. Zabrała też wiele wołów i owiec.

Londyn 7 marca. O zwycięstwie jenerała Brabanta donoszą do Biura Reutera z Dordrecht 5 b. m.: Anglicy stracili 5 czy 6 ludzi. Zabrali oni jeden fort nieprzyjacielski i poprawili znacznie swoje stanowiska. Boerowie walczą zacięcie, Anglicy muszą zdobywać każdą piędź ziemi. Nieprzyjaciel jednak ostatecznie pokonany, cofnął się wraz z wozami i działami. Anglicy w ostatnich dwóch dniach stracili 30 ludzi, między tymi jest 12 czy 13 zabitych. Straty nieprzyjaciela, jakkolwiek dokładnie jeszcze nieznane, są jednak prawdopodobnie ciężkie.

Rada państwa.

Wiedeń 7 marca. Na początku dzisiejszego posiedzenia Izby posłów, minister skarbu dr. Boehm-Bawerk oraz minister handlu baron Call odpowiedzieli na szereg interpelacyj.

Następnie Izba przystąpiła do wyboru pierwszego wiceprezydenta. Alfabetycznie wywoływano posłów, a oni oddawali swe kartki, poczem przerwano posiedzenie, aby dokonać skrutynium.

W tej chwili t. j. o godzinie 2ej posiedzenie jeszcze nie jest otwarte, ale rezultat wyboru już jest wiadomy: *P. Prade otrzymał 163 głosów i został wybrany pierwszym wiceprezydentem*; p. Zaczek otrzymał 92 głosów; nadto oddano bardzo wiele kartek czystych.

NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie za nią żadnej odpowiedzialności.

Lwów 7 marca (Z Izby handlowej).

Obliczenie wedle nowego systemu w walucie koronowej za 100 koron wartości nominalnej, z wyjątkiem losów, których kurs liczy sie od sztuki.

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 420 koron 100·30 do 101·80 Kolej Lwowsko - Czern.-Jasska po 400 kor 140.50 do 142 50. Banku hipotecznego po 400 kor. 174 00 do 177 —. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —·— do 80·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron 95·— do 100·00. Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 97·00 do 98.00

Listy zastawne za 100 ko. Banku hipot. galic. 5 proc. losy w 50 lat. z 10 proc. prem. 109·30 do 110·00 4 i pół proc. los. w 50 lat 98·30 do 99·00, 4 proc. los. w 60 lat 92 50 do 93 20. Banku kraj. 4 i pół proc los w 51 lat 99.80 do 100·50. Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 96·00 do 96·70. — Tow. kred. gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 94·50 do 95·20, 4 proc. los w 41 i pół latach 94 50 do 95·20, 4 proc. los w 56 lat 93 50 do 94.20,

Obligi za 100 ko., Gal. fund. propinacyjnego 4 prc. 96·75 do 97·45. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc 101.50 do —·—. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 100·50 do 101·20. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 95 50 do 96·20. Pożyczki kraj. 6 proc. 103·00 do —·—. 4 proc. z 1893 r. 94 30 do 95 00, miasta Lwowa po 200 koron 92·50 do 93·20.

Monety. Dukat cesarski 11·35 do 11·55. Napoleondor 19 17 do 19·37. Rubel rosyjski papierowy 255·00 do 257.00. 100 marek niemieckich 117·80 do 118 40.

Wiedeń 7 marca. (Giełda towarowa). Cukier (stale) 25·80. Nafta galicyjska bez zmiany. Spirytus niezmieniony 39·60.

Berlin 7 marca. (Zamknięcie giełdy). (Podług obliczenia procentowego). Banknoty austryackie 84 50. Spirytus 47 70.

Paryż 7 marca. (Zamknięcie giełdy). Trzyprocentowa renta 102·12. Mąka („Fleur de Paris") 25 90.

Wiedeń 7 marca. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i po 50 klg.). Pszenica na na wiosnę 7 56—7·58, na maj czerwiec 7 64—7·65, na jesień 7·85—7·86; żyto na wiosnę 6·50—6 52 na maj-czerwiec 6·62—6 63, na jesień 6·74—6·75; kukurudza na maj-czerwiec 5·40—5·41. na czerwiec-lipiec 0·00—0·00, na lipiec-sierpień 0·00—0·00; owies na wiosnę 5 21—5·23, na maj-czerwiec 5·31—5·32, na jesień 0·00—0·00; rzepak na styczeń-luty 00·00, na sierpień-wrzesień 12·65—12·75; olej rzepakowy na kwiecień-maj $32\cdot{}^1/_2$—$33\cdot{}^1/_2$. Tendencya: spokojna. Pogoda: pada śnieg.

Budapeszt 7 marca. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i po 50 klg.). Pszenica na kwiecień 7·39—7·40, na październik 7·68—7·69; żyto na kwiecień 6·26—6·27, na październik 6·44—6·45; owies na kwiecień 5·91—5·93; kukurudza na maj 5·11—5·12 rzepak na sierpień 12 25—12·35. Oferty na pszenice dostateczne. Chęć kupna mierna. Tendencya: spokojna. Pogoda: pochmurno.

21)

CORLEONE

POWIEŚĆ

Maryona Crawford.

Tłómaczyła z angielskiego Zofia baronowa Hartingh

(Ciąg dalszy).

— Czy nikogo nie zastaniemy w domu? — spytał Orsino.

— Nie, chyba, że kogo zamknięto przez zapomnienie — brzmiała odpowiedź. — Możeby jednak było bezpieczniej nie iść wprost do drzwi, ale dostać się tam ciehaczem, okrążając mur. Nikt nigdy nie może wiedzieć co jest za drzwiami, póki są zamknięte.

San Giacinto roześmiał się sucho, a Orsino bacznie popatrzył na notaryusza, na którego twarzy nic nie mógł wyczytać.

— I, doprawdy, że zawiele krzaków rośnie dokoła domu — mówił Basil. — Jeżeli mógłbym być na tyle śmiałym, aby dać panom radę, to życzyłbym zabrać się niezwłocznie do wycięcia ich. Będzie na to jeszcze czas przed nocą, bo dni teraz są długie.

— Czy ta roślinność szkodliwa dla zdrowia? — zapytał Orsino.

— Dla zdrowia? O, nie... Tylko łatwo może się za niemi zasadzić jaki człowiek, a ludzi, mających złe zamiary, nigdzie niebrak na świecie. Niech tylko panowie nie sądzą, że mam na myśli Don Ferdynanda Pagliukę. Ale tylu jest włóczęgów po drogach, którzy sobie życie ludzkie za nic ważą. Ale upewniam panów... upewniam, że to nie odnosi się do Don Ferdynanda. Życzę szanownym panom szczęśliwej podróży, najlepszego powodzenia i spełnienia zamiarów.

Odprowadził ich do powozu, widocznie rad przerwać rozmowę i odjechali dalej, mając na koźle przewodnika, który zajął miejsce obok padrona. Miał on staroświecką strzelbę przewieszoną przez ramię.

Orsino znalazł, że Randozzo jest smutnem i posępnem miasteczkiem, pomimo pięknych, misternie rzeźbionych kamiennych bram, ganków i saraceńskiej okazałej katedry; to też rad był, kiedy się znaleźli znowu na otwartem polu, pnąc się pod górę przez zaczynające się już czarne pustkowia. San Giacinto rozejrzał się dokoła i nie mówiąc nic, wydostał jeden z winczestrów, obejrzał starannie zamek i przeliczył ładunki.

— Znasz się na tej broni? — zapytał Orsina.

— Rozumie się — odparł tamten.

— W takim razie radziłbym ci nabić ją.

— Jeżeli chcecie... — niedbale odparł Orsino, który snadź ostrożność tę poczytywał za zbyteczną.

Jechali stępa pod górę, a karabinierzy tuż za powozem. Dwaj podróżni nie mogli widzieć drogi przed sobą, bo zasłaniali ją przewodnik i padrone, którzy rozmawiali ze sobą po cichu sycylijskiem narzeczem.

Naraz, z wielkim hałasem i chrzęstem broni, dwóch karabinierów, odłączywszy się od reszty, w pełnym galopie przeleciało około powozu i puściło się przodem pod górę. Wachmistrz, patrząc bystro przed siebie, podjechał do San Giacinta.

Przewodnik spuścił strzelbę z ramienia i położył ją sobie na kolanach, odwiódłszy kurek. Margrabia, trzymając wciąż winczester w ręku, przechylił się z powozu, aby zobaczyć, co się dzieje.

Nic jednakże nie było widać, prócz dwóch karabinierów, pędzących naprzód pod górę wyciągniętym galopem.

— Na szczycie góry dostrzegliśmy konnego jeźdźca — objaśnił wachmistrz — na nasz widok rzucił się w bok i znikł co koń wyskoczy. Nie złapią go, bo miał dobrego wierzchowca.

— Dużoście mieli kłopotu ostatniemi czasy? — spytał margrabia.

— Zeszłego tygodnia zatłukli jednego z moich ludzi i użyli jego munduru za przebranie — poważnie odparł wachmistrz. — Ten oto frant wartował tam widocznie, aby uprzedzić kogoś o naszem przybyciu.

Dwaj żołnierze zatrzymali konie na szczycie góry, rozejrzeli się dokoła i dali zdaleka znak wachmistrzowi, że nie widzą nikogo. Ten rozkazał im ręką, aby czekali na miejscu.

— Popędźno konie, Tato — rzekł wachmistrz do padrona, który ani się obejrzał, ani zdradził żadnego zaciekawienia podczas tego zajścia, ale zaraz posłuchał rozkazu, tak, że powóz ruszył żywiej z miejsca i wkrótce stanął na górze. Tu San Giacinto spostrzegł, że droga spuszcza się nagle ku dołowi, przez wąwóz, utworzony spadkiem dwóch gór. Dokoła, jak oko zasięgło, nie było widać nikogo, ale po prawej stronie, na jaką milę przestrzeni, były wielkie nierówności gruntu, które mogły z łatwością służyć za schronienie człowiekowi i koniowi zarazem.

Kiedy Orsino skończył nabijać dubeltówkę, rozejrzał się po okolicy i poraz pierwszy zobaczył czarne pustkowie, o którem mu wspominała Wiktorya i sprawdził słuszność jej twierdzenia, że w zagłębiach lawą wypalonego gruntu z łatwością może się zaczaić morderca. Trudno było istotnie wyobrazić sobie coś równie posępnego i dzikiego, jak to wzgórze na tylnym stoku Etny. Wulkaniczne wybuchy dawnych i późniejszych lat wylały dokoła potoki płynnego krzemienia i czarnych popiołów, zaskrzepłych w głębokich bruzdach rozpadlin, rysujących prostopadle cały zachodni stok wulkanu. Na całej spalonej powierzchni, wiosenną porą, kępami rosło jaskółcze ziele, którego jaskrawa żółtość odbijała od czarności spopielonego łoża ziemi, nadając mu jeszcze posępniejszy wygląd. Gdzieniegdzie, w odstępach dwóch, czy trzech mil, widniały grupy opuszczonych szałasów, bez drzwi okien, ulepione z gliny, a przytykające zazwyczaj do skrawka ornej ziemi, wykrojonego pomiędzy dwoma łożyskami lawy. Odległości pomiędzy niemi były tak wielkie, że chłopi gromadkami wyruszali dla uprawiania ich o pewnej porze roku. Póki trwała siejba, sypiali oni w improwizowanych wioskach, potem zaś wracali do swoich siedzib w dolinie, zostawiając plon w spokoju, aż do chwili nadejścia pory żniwa. W gierylasowych zapasach, pomiędzy regularnem wojskiem a wyjętymi z pod prawa, szałasy służą nieraz za punkta obronne i bywają często placem zaciętych bojów i krwawych scen mordu. Kamienne mury, w których powybijano tylko otwory na drzwi i okna, chronią dobrze od wnętrza, a ludziom uzbrojonym w dalekonośne karabiny, łatwo jest bronić przystępu do nich.

Po małem zamięszaniu, spowodowanem pościgiem za nieznanym jeźdźcem, dwaj żołnierze wysunęli się przodem, a reszta jechała tuż za powozem; wszyscy zaś mieli dubeltówki położone przed sobą, na kuli siodła, aby na wszelki wypadek być gotowymi do obrony. Wiedzieli oni z doświadczenia, że póki się trzymać będą razem, żadna, nawet liczniejsza partya bandytów nie ośmieli się atakować ich na otwartym gościńcu. Ale nie zaszło nic nadzwyczajnego. Jeździec przepadł bez słychu i wieści, a powóz posuwał się powoli coraz bardziej w górę, wśród rytmicznego niemal dźwięku dzwonków pocztowych i szczęku stalowych pałaszy.

— Trochę prędzej, Tato — naglił od czasu do czasu wachmistrz padrona, ale zresztą nikt nie rozmawiał. San Giacinto i Orsino czuli się zmęczeni daleką podróżą, kiedy naraz, na ostrym zakręcie drogi, konie zwolniły biegu i zboczyły na prawo z gościńca.

— Oto Camaldoli — objaśnił Tato, po raz pierwszy obracając się ku podróżnym, do których nie przemówił ani słowa w drodze. — Widzicie panowie, ot, tam, pod drzewami, basztę dyabelską, u spodu której płynie rzeka.

Dokoła, jak oko zasięgło, nie było widać żadnego innego ludzkiego mieszkania, choć wioska Santa Wiktorya była niezbyt odległą. Stary gmach, nad którym sterczał tylko czarny czworograniasty szczyt baszty, cały zasłonięty był gęstemi krzewami. Poniżej, na prawo, w stronie górskiego potoku, który Tato szumnie nazwał rzeką, przestrzeń była cała zasadzona dzikiemi gruszami, osypanemi białem kwieciem, na które zachodzące słońce rzucało szkarłatną łunę. Bliżej murów, różowe puchy rozkwitłych brzoskwiń unosiły się, jak obłok w powietrzu, a żywsza i świeższa zieleń szczytów drzew tworzyła jakby przepierzenie dla ciemnego gąszczu zbitych gęsto u spodu karłowatych krzewów. Droga była wysadzona kolczatą tarniną, która rosła tak gęsto i wysoko w miarę spadku góry, że dosięgała wzrostu człowieka, a tor był tak wąski, że kiedy karabinierzy próbowali jechać po obu stronach powozu, musieli się cofnąć, ze względu na zagradzające im drogę gąszcze. Cała gromadka jechała prędko, a Orsino zrozumiał teraz, dlaczego Basili tak ich ostrzegał przed gęstwiną; to też położył sobie dubeltówkę na kolana i od czasu do czasu zaglądał pod krzaki, jakby przygotowany był na zasadzkę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny Wacław Masłowski. — Papier z fabryki Czerlańskiej — Drukarnia Narodowa Stanisława Manieckiego i Ski — Lwów, ul Kopernika l. 9.